Głos mają budowniczowie Trasy WZ - Głos mają budowniczowie Trasy WZ

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 24 lipca 1949 r. | Nr 30 (243)

MIECZYSŁAW JASTRUN

OTRZYMAŁ

NAGRODĘ „ODRODZENIA"

Jury nagrody „Odrodzenia" w składzie: Jerzy Andrzejewski, Tadeusz Breza, Zofia Dembińska, Jarosław Iwaszkiewicz, Karol Kuryluk, Zofia Nałkowska i Stefan Żółkiewski na posiedzeniu w dniu 19 lipca 1949 r. uznało większością głosów za najwybitniejszą pozycję literacką ostatniego roku powieść biograficzną

MIECZYSŁAWA JASTRUNA „MICKIEWICZ"

oraz postanowiło przyznać mu tegoroczną nagrodę „Odrodzenia" w wysokości 250000 zł

Kontrkandydatem do nagrody był

ADOLF RUDNICKI autor „Ucieczki z Jasnej Polany"

Poza tym wyróżniono następujące książki, które podajemy w porządku alfabetycznym:

Helena Boguszewska — „Żelazna kurtyna"
Tadeusz Borowski — „Kamienny świat"
Kazimierz Brandys — „Antygona"
Stanisław Dygat — „Pola Elizejskie"
Paweł Hertz — „Portret Słowackiego"
Juliusz Kleiner — „Mickiewicz"
Jan Kott — „Szkoła klasyków"
Izydor Koszykowski — „Dziecko ulicy"
Władysław Kowalski — „Dalekie i bliskie"
Wacław Kubacki — „Pierwiosnki polskiego romantyzmu"
Ryszard Matuszewski — „Literatura po wojnie"
Kazimierz Wyka — „Pogranicze powieści"
Adam Ważyk — „W stronę humanizmu"

MIECZYSŁAW JASTRUN

Wymienieni w dyskusji:

Józef Bok — „Na Uralu"
Karol Bunsch — „Dziedzictwo"
Adolf Chybiński — „Karłowicz"
Zdzisław Jachimecki — „Chłopi"
Aleksander Jackiewicz - „Górnicy"
Kazimierz Koźniewski - „T. T. Jeż"
Irena Krzywicka — „Bunt Kamila Martena"
Ignacy Narbutt — „Filiponka"
Tadeusz Peiper — „Krzysztof Kolumb odkrywca"
Witold Rudziński — „Muzyka dla wszystkich"
Adolf Sowiński — „Ks. Ściegienny"

Przypominamy, że nagrodę „Odrodzenia" ufundowała w 1945 roku Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" i że pierwszym jej laureatem był Tadeusz Breza, autor „Murów Jerycha", następnie zaś w r. 1947 Jarosław Iwaszkiewicz za „Nowele włoskie" i „Nową miłość", w r. 1948 — Jerzy Andrzejewski za powieść „Popiół i diament".

PIĘCIOLECIE — EPOKA

Przebytego czasu nie mierzy się tylko ilością lat. Cóż znaczyło — z punktu widzenia rozwoju kultury pięciolecie 1918—1923? Któż uzna **jakiekolwiek** pięciolecie Polski międzywojennej za etap w rozwoju naszej kultury narodowej, tak ważny, że będą o nim wspominać dzieje?

Przebyty czas mierzy się ilością pracy, ilością wysiłków, rozumnością tej pracy i wielkością a także trwałością jej wyników. Nie ma innego kryterium. Rok rokowi nierówny, pięciolecie, pięcioleciu nierówne.

Wiemy, że są pięciolecia, które w rozwoju dzisiejszym znaczą tyle co stulecia. Wiemy o tym nie z książek, nie z foliałów historycznych. Wiemy o tym, bo sami przeżyliśmy pięciolecie, które pchnęło nas naprzód, o całą epokę historyczną. I uświadamiamy to sobie ze szczególną wyrazistością dziś, gdy robimy obrachunek okresu 1944—1949.

Manifest Lipcowy zapowiadał odbudowę szkolnictwa i ścisłe przestrzeganie powszechności nauczania, otoczenie szczególną opieką zdziesiątkowanej przez Niemców inteligencji polskiej a zwłaszcza otoczenie opieką ludzi nauki i sztuki. Czy był to program obszerny? **Wówczas** — był to program fantastyczny, nieprawdopodobnie śmiały, nawet zuchwały. Czy trzeba przypominać bezmiar zniszczeń w ogóle, zniszczeń w dziedzinie oświaty i kultury w szczególności, jaki przejęliśmy po okupacji hitlerowskiej? Manifest Lipcowy zapowiadał — w tych słowach — realizację tego, czego nie potrafiły zrealizować rządy kapitalistyczne w ciągu całego dwudziestolecia. Ale Polska w ogóle wkraczała wówczas w okres zapowiadania i realizacji planów fantastycznych i zuchwałych w swej śmiałości. Przypomnijmy, że w parę miesięcy później Bolesław Bierut zapowiedział odbudowę — w ciągu niewielu lat — Warszawy piękniejszej niż była przed wojną!

A kiedy dziś spoglądamy wstecz na początek pięciolecia — dziwimy się, że takie plany wówczas uważano za śmiałe. Rzeczywistość bowiem pozostawiła w tyle zapowiedzi Manifestu, a daleko prześcignęła to, co było zrobione we wszystkich latach międzywojennych. Porównajmy stan szkolnictwa wyższego obecnie i przed wojną! Porównajmy liczbę 823 liceów ogólnokształcących obecnie i 789 przed wojną. 75 tys. dzieci w przedszkolach przed wojną i 241 tys. — obecnie, 216 tys. uczniów w szkolnictwie zawodowym przed wojną i 684 tys. — obecnie.

Meldunki liczbowe nie dają i nie mogą dać pełnego obrazu skoku w dziedzinie kultury, jaki nastąpił od dnia ogłoszenia Manifestu. Liczby mówią dużo, ale nie mówią wszystkiego. Ale mimo to posługujmy się dalej językiem cyfr. Blisko 5 milionów tylko robotniczych i chłopskich gazet, 8,5 mil. widzów teatralnych, 4 mil. słuchaczy koncertów, nakłady książek, o jakich przed wojną nikomu się nie śniło, 250 tysięcy uczestników robotniczych i chłopskich zespołów świetlicowych. Któż mógł przed pięciu laty wierzyć, że takie wyniki są możliwe do osiągnięcia?

Nie jest jednak rzeczą trudną zrozumieć, jak mogło dojść do skoku w dziedzinie kultury, którego wyrazem są powyższe cyfry. Trzeba tylko czytać i wmyśleć się nie tylko w ten punkt Manifestu, który mówi o polityce kulturalnej, lecz czytać i wmyśleć się w całość Manifestu. W słowach Manifestu o przejściu pod zarząd państwowy wielkiego przemysłu, w słowach o reformie rolnej, o demokratyzacji całego życia państwowego, w ożywiającym cały Manifest dążeniu do zbudowania sprawiedliwego ustroju społecznego, zawarty jest program prowadzący do rewolucji kulturalnej, i niemożliwy do zrealizowania bez rewolucji kulturalnej. Demokracja ludowa — bez podniesienia najszerszych mas narodu do życia kulturalnego jest niemożliwa. Podniesienie mas narodu do życia kulturalnego jest nieodłącznym elementem demokracji ludowej. To tylko narody kapitalistyczne boją się kultury mas. Państwo ludowe nie może zrobić kroku naprzód, nie rozwijając tej kultury, nie podnosząc jej i nie wciągając w jej orbitę milionów ludzi wegetujących dotychczas poza kulturą. Takie jest prawo rozwojowe naszego ustroju.

Prawa rozwojowe naszego ustroju działają wszechstronnie. Już dziś widoczne są tendencje głębsze, tendencje nowe jakościowo zawarte w cyfrach o rozwoju życia kulturalnego w naszym kraju. Tendencje, które działać będą tym silniej, im większe postępy będziemy czynili na drodze do socjalizmu. Pamiętamy naiwne mniemanie, że rozwój oświaty sam przez się doprowadzi do ulepszenia i uszlachetnienia człowieka i form jego bytowania społecznego. Ale u nas w kierunku zmiany człowieka i społeczeństwa działa nie tylko szkoła (wiemy, że niestety szkoła nie robi tego jeszcze w dostatecznej mierze!), ale i fabryka, i spółdzielnia, i partia, i państwo. Uruchomialiśmy i uruchamiamy w dalszym ciągu wszystkie dźwignie, by osiągnąć nasz cel. Nie szukajmy odpowiedzi na pytanie, jakie mamy wyniki w tej pracy, tylko w cyfrach o czytelnictwie czy o frekwencji teatralnej, a nawet nie tylko w danych o liczbie robotników i chłopów korzystających z dóbr kulturalnych. Dodajmy do tych liczb — cyfry współzawodnictwa i nowatorstwa w przemyśle i budownictwie, cyfry o wykonaniu planów, dane o działaniu inicjatywy społecznej, o nowym zjawisku przebudzenia się do życia obywatelskiego kobiety wiejskiej, o sporcie na wsi, o kółkach amatorskich w Sulejowach, o tworzeniu się spółdzielni produkcyjnych. Tylko wówczas obraz będzie pełny. Ale wówczas też się okaże, że już występują w naszym życiu pierwsze zarodki tendencji właściwej socjalizmowi w najwyższym stadium jego rozwoju, tendencji zamierania granic między pracą fizyczną a umysłową, oraz między miastem a wsią. Cóż bowiem wspólnego ma Religa i Krajewski, Bugdoł i Zieliński ze starym robotnikiem z okresu kapitalizmu, będącym bezdusznym dodatkiem do maszyny? Co wspólnego ma chłop, zakładający spółdzielnie produkcyjne, uczący się korzystać z traktora i elektryczności — z przybitym, zahukanym chłopem, jakiego pamiętamy jeszcze z czasów przedwojennych.

Pracownicy kultury i sztuki wiedzą dobrze, jak szybko rosną kierowane pod ich adresem żądania robotników, chłopów i pracującej inteligencji — nowych konsumentów i współtwórców kultury w Polsce Ludowej. W tym wzroście potrzeb kulturalnych ludzi pracy ujawnia się fakt natury głębszej i ogólniejszej. Jest to odpowiednik w dziedzinie kulturalnej wzrostu pewności siebie, wiary w swoje siły, przeświadczenie, że przyszłość należy do nas, przeświadczenie, że jesteśmy dość potężni, by się przeciwstawić nowemu paroksyzmowi faszyzmu i wojny.

W ciągu pięciu lat wyrośliśmy jako naród politycznie i ideologicznie. Wiemy jaką ważną rolę odgrywamy w obronie pokoju i postępu. Wiemy, że nie jesteśmy osamotnieni w naszych dążeniach i że po raz pierwszy w dziejach naszego narodu mamy szczerych i uczciwych przyjaciół, których interesy są identyczne z naszymi interesami.

Świadomość ta jest ważnym składnikiem naszej pracy kulturalnej i naszych osiągnięć.

W pracy kulutralnej niezbędna jest perspektywa i wiara w przyszłość. Tę naszą wiarę w przyszłość utrwalał każdy dzień minionego pięciolecia. Na tej wierze, na wszystkich ekonomicznych i politycznych jej przesłankach, będziemy rozwijać dalej naszą rewolucję kulturalną, krew z krwi i kość z kości naszej rewolucji w ogóle.

Jerzy Kowalewski

ZOFIA DĄBKOWSKA

„Mickiewicz“ Mieczysława Jastruna

Ci, którzy mają bodaj jakiś odległy stosunek do twórczości, wiedzą, jakiego natężenia wszystkich sił wymaga ulepienie postaci żywej — zwartej i zmiennej jednocześnie — takiej, która jest i nie jest w procesie swego nieustannego stawania się, postaci czerpiącej z otoczenia i historii to wszystko co otoczenie i historia dają ludziom i jednocześnie snującej siebie z siebie samego równie konsekwentnie i wytrwale, jak każdy człowiek swoją własną treść snuje; postaci stworzonej z kontrastów i sprzeczności a jednocześnie wykutej z jednej bryły.

Jeśli tak trudno żywego bohatera ulepić, jaką sztuką jest go **uszyć,** uszyć z drobniutkich, wielobarwnych i wielokształtnych skrawków materiałów historycznych. Jastrun w swej książce nagromadził tych materiałów imponującą ilość, jego Mickiewicz nie odzywa się nigdzie i nie porusza w sposób „dowolny“. Wyczuwamy w każdym szczególe, w każdym zwrocie pobożny pietyzm, który każe badać każdą literę dokumentów, wszystkie ich rozbieżności i wzajemne zahaczenia. A jednak na „Mickiewiczu“ nie widać szwów ani śladów fastrygi. Pomimo hamulca, który w takiej pracy autor musi sobie na każdym kroku stawiać, jego Mickiewicz oddycha, żyje, jest pełen krwi, jest sobą. Trud benedyktyński, zespolony w wielkim wzruszeniu z rozmachem twórczym — oto pierwsze, co uderza w tej pięknej książce.

Książka składa się z szeregu rozdziałów, z których wiele stanowi zamknięte skończone essaye-nowele. Rozdziały te są robione osobną techniką, mają swój własny koloryt, własną aurę i temperaturę, wypływającą z czasów i miejsc, które opisują. Wydają się więc przy pierwszym czytaniu niemal jednolite. I dopiero trzeba się w nie wgłębić, aby zauważyć jaką ilością szczegółów drżą i mienią się te stronice. A jednak mimo tego bogactwa, mimo nagromadzenia — nigdzie zresztą dzięki taktowi autora, nie przechodzącego w barok — mimo tego, utrzymanego w karbach nadmiaru, Mickiewicz nie przestaje być takim, do jakiego przyzwyczailiśmy się w dzieciństwie — wielkim, spoistym, groźnym niemal w swej wierności jednej idei, której służył całe życie.

Jastrun pokazuje jak żywy człowiek wrasta w myśl, jakich mąk, jakiego szarpania się wymaga wplecenie się młodego, nieco ponurego i dzikiego chłopca w koło narodu. Pokazuje patos tej tragicznej walki w krańcowej, codziennej chwilami aż trywialnej prostocie. Splecenie wielkości z pospolitością, najwyższego natężenia wyobraźni z trzeźwym obrachunkiem ,tytanicznej mocy charakteru z upadkami i potknięciami się, niczym nie mącąc naszego przywiązania i naszej pamięci nadaje Mickiewiczowi Jastruna piętno ludzkie — piętno szekspirowskie.

Właściwe proporcje bohatera otrzymuje Jastrun przez rzucenie go na tło historyczne, przez otoczenie go innymi ludźmi tych samych czasów, należącymi do różnych grup społecznych, różnych narodów, o różnych bogato zindywidualizowanych charakterach i namiętnościach.

Nowe w metodzie Jastruna jest to, że historia nie jest dlań tylko tłem. Przeciwnie to ona jest spiritus movens wszelkich poczynań poszczególnych ludzi — to ona wiedzie bal.

I jeszcze jedna z zalet tej bogatej książki: praca historyka jest w niej daleka od uczonego pedantyzmu od nudy. Chciałabym w tym miejscu zwrócić uwagę czytelnika na krajobrazy Jastruna, na atmosferę miejsca, ów mistrzowsko oddany genius loci, na rytmikę, wewnętrzne bardzo muzykalne rozkołysanie całej książki, na jej dyskretną, głęboką poezję.

Jastrun, jak ów bohater bajek z tysiąca i jednej nocy, rozbił zaczarowaną skrzynię i wywołał widomie najpotężniejszego z duchów. Dźwięki i obrazy bliskie nam od dzieciństwa, lecz luźno związane przez pojęcie tylko — przez nazwisko — zmaterializowały się w postać żyjącą i cierpiącą w naszych oczach. Piękną, szeroką i równą polszczyzną, pulsującą zatajonym wzruszeniem, opowiada Jastrun o człowieku, przywiązanie do którego jest wolne od zmazy miłości ku trupom. Mickiewicz należy bowiem do tych wiecznie młodych geniuszy, o których Bieliński mówił, że rozwijają się i rosną wraz z narodem. Każde nowe pokolenie odkrywa w nich nowe pokłady, ukryte jeszcze oczom poprzedniego. Wiedza o nich jest niewyczerpana. Sądzę, że Jastrun, w swej pracy nad Mickiewiczem ogarnął i zsyntetyzował to wszystko prawie, co **dziś** jest nam dostępne.

Najważniejsze jednak, być może jest to, że książka zaraża tchnieniem myśli mickiewiczowskich, nasuwa pytania, w których rozwiązywaniu Jastrun posunął nas znacznie naprzód, na które jednak wyczerpującej odpowiedzi nie dał, bo ich dziś jeszcze dać nie można.

A więc przede wszystkim — sprawa myśli i uczucia.

Mickiewicz nic nie brał na wiarę. Wszystko, co nam powiedział ten najbardziej wykształcony z naszych pisarzy, było jego własnością. Nie można biegnących przez całe życie zmagań się Mickiewicza z rozumem objaśniać tylko „modą romantyczną“. „Modę“ bowiem rozumiał jako powszechną dla **swych czasów** konieczność. W przedmowie do „Ballad i romansów“ pisze:

„...jeśli za charakter poezji romantycznej uznamy przebijające się w niej cechy ducha czasu, sposobu myślenia i czucia ludów w wiekach średnich — natenczas powstać przeciwko romantyczności nie jest to powstać przeciwko poetom, ale wypowiadać wojnę uczoną narodom rycerskim, których obyczaje i dzieła opiewali poeci.

Nadto, jako w teraźniejszym Europy stanie wiele zaczynało się opinii, wiele odzywa się uczuć z czasów rycerskich, tak i w wielu dziełach nowożytnych różnego rodzaju widać mniej lub więcej cechy romantyczności...“

Wszystko zaangażował w tej walce z rozumem: instynkt, uczucie, wolę i myśl, przede wszystkim, myśl której się bał i którą gardził, a która była jego największym skarbem. Jaką sam przywiązywał do niej wagę w drobnym tylko lecz charakterystycznym szczególe może wyjaśnić ta przytoczona przez Jastruna anegdota z lat ostatnich poety: „Mickiewicz niechętnie rozmawiał o literaturze. O własnych poezjach najniechętniej. Kiedyś kustosz Biblioteki Arsenalskiej, pan de l'Ardeche, pokazuje mu numer „Revue Contemporaine“ z artykułami Klaczki o poezjach Adama Mickiewicza... Po paru dniach odnosi pismo kustoszowi i patrząc mu prosto w oczy, jak zwykł patrzeć, gdy chciał jaką myśl podkreślić, streszcza swoje wrażenia w tym zdaniu: „To było dość trudno napisać tyle stron o „Sonetach Krymskich“, nie wymieniwszy ani jednej myśli, które się na nie złożyły“.

Czemu więc „nastąpił na gardło własnej pieśni?“

Czym wytłumaczyć zygzakowatą, łamaną, biegnącą często równoległymi nurtami linię twórczości?

Romantycznie rozwichrzone „Ballady“ i „Dziadów część II i IV“ i jednocześnie „posągowa“ — jak wówczas mawiano — „Grażyna“; konwencjonalne Sonety miłosne i groźne wcielenie prawdziwej miłości — „Konrad Wallenrod“; „Dziadów“ część III i „Pan Tadeusz“...

Czyżby to była normalna zmienność życia w tym człowieku o „najwierniejszej pamięci“?

Czemu rzucił literaturę? Zastanawiająca proporcja liczb: 13 względnie 14 i 22 względnie 21. 13 lat, poświęconych poezji i 22 lata pracy naukowej, dziennikarskiej i organizatorskiej. Wydawać by się więc mogło, że życie rozpękło się na dwie nierówne części. Pierwsza poświęcona „posłannictwu wieszcza“, druga pracy politycznej. Ale dziś nie ulega już wątpliwości że motorem również poezji Mickiewicza był jego temperament polityczny, jego pasja wychowawcy narodu.

Jaki więc był jego światopogląd społeczny?

Jastrun narzuca nam te pytania z sugestywnością, z której nie można się otrząsnąć wzruszeniem ramion. Po zamknięciu książki myślimy o nich dalej. A zwłaszcza to ostatnie. Do jakiej Polski, do jakiej Europy dążył Mickiewicz? Dziś, gdy nikt już nie może żyć poza czasem, poza krajem, który w naszych oczach rozstaje się ze starym i wstępuje w nowe, słowo Mickiewicza, jego wiara, jego nauki są dla nas bardziej niż kiedykolwiek niezbędne.

Jesteśmy w dobie powstawania Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, u kolebki rodzimego kapitalizmu. Pierwsi poczuli powiew nowych czasów magnaci, dziedzice wielkich latyfundiów. W ciągu lat niewielu szereg feudalnych włości przekształca się w kapitalistyczne folwarki, w miastach powstają nowoczesne zakłady przemysłowe. Kraj jednak zacofany i zrujnowany przez wojny nie może dostarczyć odpowiedniej ilości nabywców. Dalszy rozwój tych przedsiębiorstw zależy od zdobycia rynków zagranicznych. Dlatego panowie - przemysłowcy podejmują Napoleona - zwycięzcę hucznymi festynami w swych pałacach warszawskich i wileńskich, dlatego potem łatwo i bezboleśnie przechodzą — po klęsce Wielkiej Armii — na stronę Aleksandra — Oswobodziciela. Obojętne jest kto kupuje ich zboże i wytwory włókiennicze, byle handel szedł. Wspomagani wówczas już przez kapitał francuski i rosyjski a później przez niemiecki i angielski panowie - przemysłowcy, sceptyczni wychowankowie materialistycznego Oświecenia sprzedają kraj i naród hurtem i detalicznie. Za Aleksandra I salony — kantory handlowe (i polityczne) Czartoryskich, Sobańskich, Rzewuskich, Hańskich i innych w Petersburgu, Moskwie i Odessie należały do najwykwintniejszych, najpiękniejszych — i najruchliwszych.

Ciężary klęski narodowej dzieli między siebie drobna szlachta i chłopstwo.

Nadciągający przewrót gospodarczy wytrąca przede wszystkim z rąk panów braci klamkę magnacką. Jaśnie-oświeceni likwidują swe klientele — niepotrzebne im są już głosy elektorów, niepotrzebne szable rębaczy na sejmikach i zajazdach. Potrzebni są natomiast robotnicy i urzędnicy do ich majątków i fabryk. Nie w przekarmianiu i upijaniu szlachty są odtąd zainteresowani, tylko w jej pauperyzacji. I tu interesy ich schodzą się znowu z interesami zaborców, z interesami caratu przede wszystkim. Szlachta zaściankowa **na równi** z chłopami i mieszczaństwem staje się potencjalną armią rezerwową proletariatu i inteligencji. Naradzający się kapitalizm zmienia linie podziału biegnące poprzez „nację“, zawiesza nad głowami gminu nowe, **wspólne** groźby, nicuje stare pojęcia Rzeczypospolitej, narodu szlacheckiego...

Szaracy, osamotnieni przez dziedzicznych protektorów, musieli szukać oparcia w ludzie. Życiem ich rządził obecnie wyłącznie cykl prac rolniczych (obiektywnie spełniali oni w ekonomice kraju rolę bliską tej, jaka przypadała bogatym chłopom na przykład Francji ówczesnej), a obyczajowo i kulturalnie różnili się od otaczających włościan tym chyba jedynie, że ich niewiasty „żęły, a nawet przędły w rękawiczkach“. Pęd centralistyczny, pęd do połączenia się z narodem, dążenie **z gruntu postępowe,** leżące przecież już u podstaw Insurekcji Kościuszkowskiej, nie obejmowało jednak wszystkich warstw i wszystkich grup narodu. Był to ruch obronny drobnych posiadaczy, średnich pokładów społecznych. W miarę tego, jak echa Wielkiej Rewolucji cichły, upodabniał się on coraz bardziej do tych procesów, które za czasów Napoleona i Restauracji, wobec zbratania się wielkiej burżuazji z pobitymi feudałami ogarnęły część chłopstwa we Francji i w państwach Europy zachodniej.

Strach przed nadciągającą mechanizacją życia i przed tymi siłami społecznymi, które ona rodzi, a które w postaci jeszcze nieskrystalizowanej, lecz już jawnej ukazał terror; strach z jednej strony przed spekulantami, obszarnikami i fabrykantami czyhającymi na ich parcele i na ich oszczędności, z drugiej przed sankiulotami, grożącymi im przewrotem społecznym, chęć zatrzymania rewolucji w miejscu dla nich dogodnym, pesymizm i niepewność jutra, szukanie oparcia w kulcie wielkiej indywidualności — wylały się w romantyzm polityczny i literacki.

Drogi polskiego drobnomieszczaństwa, którego trzonem była szlachta zagrodowa, były bardziej jeszcze skomplikowane, poplątane i wielotorowe. Były bowiem przeorane przez niewolę. Nienawiść do kapitalizmu identyfikowała się tu z nienawiścią do zaborców i zdrajców. Sądzono, że dość wypędzić Moskali i Prusaków, by powrócić do dawnej— wyidealizowanej w legendzie — Rzeczypospolitej równości i braterstwa szlacheckiego. Przyszła ojczyzna mogłaby również, jak niemal niektórzy, ogarnąć część pospólstwa biorącego udział w walce wyzwoleńczej. W nienawiści swej, marzeniach i planach szlachta czuła się jednak nieporadna i słaba. Stąd wzmocnienie prądów irracjonalistycznych. Wyrażały się one nie tylko w ucieczce pod opiekę Królowej Korony Polskiej. Do mistycyzmu i mesjanizmu przyszykował szlachtę przez wieki nawarstwiający się irrealizm jej psychiki stanowej. Wielką szkołą idealizmu był przecież kult klejnotu szlacheckiego, wiara w równość szlachecką, megalomania stanowa, przekonanie o niezwyciężonej potędze Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, filary szlacheckiego światopoglądu, którym w świecie faktów, od setek lat nie odpowiadała już żadna rzeczywistość.

Nie z mody zagranicznej także, ale z własnej, rodzimej, przez historię i jaśnie panów wykształconej bierności politycznej płynęło wyglądanie Mesjasza, wiara w „Chrystusa-Napoleona“, według szalbierczej terminologii Towiańskiego.

Tak więc tendencje wolnościowe i proludowe, utopie antykapitalistyczne i antyracjonalistyczne szlachty na początku XIX stulecia zdradzały takie skłębienie pojęć postępowych i wstecznych, których rozplątanie nawet dziś, z perspektywy ubiegłych lat 150 jest trudne.

Adam Mickiewicz był od początku niemal swej twórczości orędownikiem jedności narodowej. Obiektywnym sensem całej jego ogromnej pracy zarówno poetyckiej, jak będącej jej bezpośrednim przedłużeniem wykładowczej i publicystycznej było wlanie w warstwę — która **ciałem** już pełniła funkcje chłopskie, lecz wspomnieniem przebywała w kraju nieistniejącym — **ducha** chłopskiego. Pozostając zawsze prawym synem swego stanu, nigdy, w najwyższych swych wzlotach i w najcięższej depresji nie odrywając się od ludzi, którzy byli podówczas jedynym aktywnym elementem narodu, którzy byli jeszcze jego **dziś,** pracował nad tym, by zrozumieli, że **jutrem** kraju są chłopi.

„Czucie i wiara (gminu) silniej
|mówi do mnie
Niż mędrca szkiełko i oko“ —

— słowa wyuczone w dzieciństwie jak pacierz i nie pobudzające już dziś do żadnej myśli oznaczały wstąpienie do literatury polskiej nowej klasy. Przyszła nie tylko ze swym językiem, ze swymi obyczajami, ze swym naiwnym, na wpół pogańskim katolicyzmem, ze swą pracą, ze swą przyrodą, przeciwstawną klasycznej i sentymentalnej — przyszła ze swymi konkretnymi formami bytu. Duchy w „Dziadach“ protestują wprawdzie tylko przeciw nadużyciom ustroju, co oczywiście nie było w literaturze polskiej nowe; nowa była jednak **gwałtowność** protestu, wnoszonego przy tym nie przez osoby trzecie, lecz przez poszkodowanych.

Dwa pierwsze tomy poezji Mickiewicza stając po stronie ludu wypowiadają jednocześnie wojnę „arystokratycznemu“ (taka jest dialektyka dziejów) Oświeceniu. Tak wyglądały pierwsze, podejmowane przez Mickiewicza, próby zawarcia nowych przymierzy, nowego sprecyzowania pojęcia „naród“. Poglądy z okresu „Romantyczności“ nie były jeszcze rewelacyjne, i nie one właściwie wzburzyły opinię konserwatywną. Kamieniem obrazy była tu niesłychana postawa artysty. Ta postawa bezkompromisowa, agresywna, która dojrzewając z wypadkami przybierze w końcu swoiście rewolucyjny charakter.

Wyjeżdżając z kraju 26-letni Mickiewicz wywoził znajomość staropolskich instytucyj, znajomość i pamięć o ludzie w szerokim tego słowa znaczeniu, katolicyzm jeszcze raczej powierzchowny, lecz już nieprawowierny (patrz „Dziadów“ część IV), oraz te „wieczne prawdy“ Wielkiej Rewolucji, które głosili w swych „książkach zbójeckich“ mieszczańscy klasycy niemieckiego „Sturm und Drangu“. Te elementy rozstrzelone i sprzeczne spoił i treścią pozytywną zapełnił dopiero podczas pobytu za granicą.

Mickiewicz przyjechał do Rosji, gdy dojrzewały już wypadki grudniowe. W obu stolicach i na południu kraju zetknął się z ruchem rewolucyjnym, rozgałęzionym, różnorakim, z bogactwem teorii i pomysłów, z wrącym i płynnym materiałem ideologicznym, który jeszcze nie zakrzepł i nie skrystalizował się. Wśród dekabrystów znajdowali się reprezentanci wszelkich koncepcji politycznych wieku Oświecenia, a także i tych, które zaczęły się wyłaniać z mgieł i oparów romantycznych. Współżyli na razie ze sobą po przyjacielsku konstytucjonaliści i republikanie, ewolucjoniści i rewolucjoniści, materialiści i szellingiańczycy, zwolennicy „status quo tylko bez cara“ i wyznawcy francuskich utopistów — wszyscy zjednoczeni wspólną nienawiścią do Mikołaja I i wspólnym pragnieniem czynu. W orbicie dekabrystów obracała się również grupa młodych literatów, która później, w latach czterdziestych miała odegrać znaczną rolę w życiu umysłowym Rosji. Byli to bracia Kiriejewscy, Chomiakow, Aksakow, Pogodin, przyszli teoretycy tak zwanego moskiewskiego słowianofilstwa. Nazwiska te raz po raz wracają na kartach książki Jastruna w materiałach dotyczących pobytu Mickiewicza w Moskwie. „Poszedłem do Mickiewicza — pisze Pogodin w swoim dzienniku. — Wielka radość z widzenia się. O naszej oświacie. Rosja musi koniecznie wziąć w obronę Słowiańszczyznę, tym sposobem bardziej do siebie przyciągnie niż pułkami“.

Widocznie już w latach moskiewskiego wygnania Mickiewicz dyskutował o kwestiach, które później mocno go absorbowały, i jak się wy-

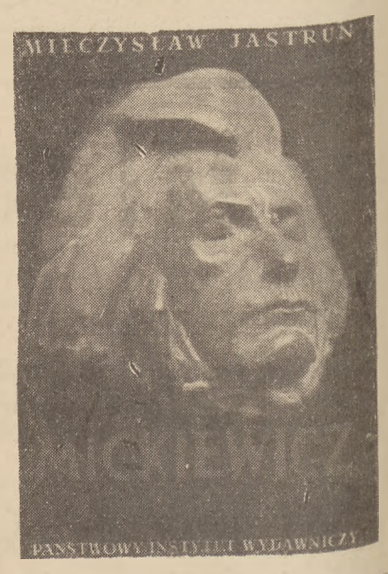

dały weszły jako istotne elementy w skład jego światopoglądu.

Punktem wyjścia słowianofilów była romantyczna nienawiść do popiotrowskiej, wstępującej w epokę kapitalistyczną, Rosji. Z goryczą i zgrozą patrzyli na degenerację moralną szlachty, na straszliwe cierpienia chłopstwa. Wstrętem przejmował ich aparat policyjny, wpełzający we wszystkie szpary cesarstwa, tępa, miażdżąca życie machina biurokratyczna i pierwsze zapowiedzi niedalekiej przyszłości — wzrost wpływów ciemnego, okrutnego, skorumpowanego „stanu trzeciego“. W Europie czasów Cesarstwa i Restauracji widzieli tylko obłudę, rozpustę i triumfujący wyzysk. Wzgardzili zachodnią oświatą, zapragnęli uciec przed Sodomą i Gomorą kapitalizmu. Wierzyli, że można cofnąć się z drogi, na którą pchnął kraj car-reformator, że można uniknąć nieszczęść i klęsk, które niesie uprzemysłowienie.

Należy „tylko“ cofnąć się do dawnych błogosławionych czasów rosyjskiego, przedpiotrowskiego feudalizmu. Należy wyrzec się zdobyczy rozumu, prowadzących do kultury oschłej, nieludzkiej, zbrodniczej. Wyrzekając się obcych wzorów należy poznać i pokochać własny naród w jego prostocie, w jego głębokim i bezpośrednim życiu wewnętrznym, w jego dziecięcej wierze i naiwnej mądrości odwiecznych instytucji. Entuzjazmowali się artelem i wspólnotą wiejską, rozdziałem plonów i pól, radami chłopskimi i samorządami gminnymi, które leżały u podstaw słowiańskiej organizacji władania ziemią. Podziwiali feodalną patriarchalność bytu starej szlachty związanej ponoć w równej mierze co chłopi z ziemią i pracą rolnika. I wierzyli, że bez rewolucji **społecznej,** drogą przekonania „czynników decydujących“, drogą wywarcia nacisku moralnego na warstwy panujące można przenieść rusztowanie już istniejącej państwowości nad tę odwieczną, prawdziwie rosyjską, zbawienną treść. Wierzyli również, że podobieństwo ustroju wiejskiego, „podstawy wszelkiego życia narodowego“, podobieństwo charakterów i wspólność prahistorii winny zjednoczyć wszystkich Słowian i przeciwstawić ich pochodowi zachodniego kapitalizmu.

Utopijność, ahistoryczność poglądów słowianofilów zaprowadziła ich w latach późniejszych do obozu skrajnej reakcji, barbarzyńskiego prawosławia, policyjnej praworządności, mikołajowskiego imperializmu.

W latach jednak trzydziestych, gdy ci słowiańscy ,ludowcy“ stawiali pierwsze, nieśmiałe kroki, byli oni tylko uczniami niemieckich filozofów idealistów i młodszymi braćmi francuskich utopistów, których nauki zostały w tak swoisty sposób przeniesione na glebę rosyjską.

Jakkolwiek już w r. 1835 wśród emigrantów polskich w Anglii powstaje, jak wiadomo socjalistyczne stowarzyszenie „Gromada Grudziądz — Lud Polski“ i przeglądy socjalistyczne mają licznych zwolenników na emigracji, być może raczej wpływy słowianofilów obok nauk Saint-Simona, Fouriera, przede wszystkim zaś ks. Lamennais zaważyły na formułowaniu następujących paragrafów „składu zasad“ legionu rzymskiego, ułożonych przez Mickiewicza, a określających „podstawy polityczne i społeczne przyszłego ustroju Polski“:

Art. 2 składu zasad głosił: „Słowo Boże w Ewangelii zwiastowane, prawem narodów, ojczystym i społecznym.

...Art. 13. Każdej rodzinie rola domowa pod opieką gminy. Każdej gminie rola gromadna pod opieką narodu. Art. 14. Wszelka własność szanowana i nietykalnie pod strażą urzędowi narodowemu oddana. Art. 15. Pomoc polityczna, rodzinna, należna od Polski bratu Czechowi i ludom pobratymczym czeskim, bratu Rusowi i ludom ruskim. Pomoc chrześcijańska wszelkiemu narodowi jak bliźniemu“.

Oprócz wymienionych, ten niezwykle dla zrozumienia koncepcji politycznych Mickiewicza ważny dokument, zawiera także paragrafy, domagające się zrealizowania w

(Dokończenie na stronie szóstej)

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Byt określa świadomość

**Smutna to była świadomość:
hałdy, hałdy, osada.
Proletariusz? — to przecie wiadomo:
ten, co nic nie posiada.**

**Co mi tam opowiadać
co było a czego nie będzie!
Chcę rozpowiedzieć radość
wszędzie.**

**Wydobyliśmy tyle a tyle
ponad normę. Wiadomo.
Niech dzieci spytają: ile
chleba z masłem przybyło do domu?**

**Niech żona spyta: „Dlaczego
nie zmęczony i taki radosny?“
Mąż odpowie: „Bom robił dla swego,
dla socjalizmu, dla wiosny,**

**robiłem z rozmysłem, honornie,
kilof walił, jak sto tysięcy,
325 ponad normę,
a będzie jeszcze więcej!“**

**Jeszcze czarne pod kopalniami
hałdy i widma domostw.
Przyszłość przed nami!
Byt określa świadomość!**

Moja biblioteka

**Te półki ocalały mi sprzed wojny
z dziurawymi od kul książkami..
Czasami los wojny jest hojny,
więc dlatego jestem między wami**

**Wspominam mitów niedostatek
i średniowiecza łgarstwo —
cóż mi zostało na ostatek,
jakie lekarstwo?**

**Nie róg Rolanda, nie miecz Don Kichota
i nie wędrówki Kandyda,
dzielna niegdyś książek piechota
nie na wiele mi się dziś przyda,**

**nie Byron, nie Szekspir, nie Goethe,
ich poezja wzniośle - surowa,
nie Norwid nawet, nie te
zostały mi słowa,**

**nie zostały nawet słowa Słowackiego,
kiedy mówił: „...pawiem i papugą...“,
(a przecież od niego, od niego
uczyłem się tak długo...)**

**Tego wszystkiego uczyłem się na pamięć
z woli nieprzymuszonej,
a potem przyszła jedna zamieć, druga zamieć
i pamięć zabitej żony...**

**Nie, nie to mi zostało z książek
ocalałych,
ale jakiś przewspaniały związek,
który łączy świat cały.**

**Ja na taborach radzieckich
w dziewiętnastym, dwudziestym
(ledwie przypominam)
czytałem (podporucznik) prawie dzieckiem
książki Lenina:**

**„Imperializm, jako najnowszy...“,
„Emperiokrytycyzm i marksizm“...
I myśli stanęły w poprzek
temu co znali starsi.**

**...Noc już świtem farbuje
i życiu już późna pora...
Towarzysze, dziękuję
za pocałunek Almanzora.**

Prezydent Bolesław Bierut przy odgruzowywaniu Warszawy

TADEUSZ URGACZ

NAD MANIFESTEM

Poeto, mów namiętnym słowem:
nareszcie polski i ludowy
ten lipiec był, ten lipiec skąpy
w deszcze, z upału skwarnym wąsem,
a w świetle wschodniopolskich rzek
miał on czerwony, dobry łeb.

Nic to, że kiedy świecą srebrne
kwiaty i księżyc burmistrzuje,
bandyta leśny strzela w plecy
i błogosławią różne szuje.
Wyklęty powstań ludu ziemi,
Zaciśnij n- piorunie palec,
robaki wyjdą z kas pancernych,
bankierzy rzygną dolarami.
W promieniach wiatru, w okularach
ciepłego, lipcowgo słońca
powstańcie, których gnębił głód.

Na Wschodzie jedzie mocny traktor,
najtęższy byk żelaza wozi
rosyjskie, urodzajne lato.

A u nas?

u nas — powiedziałby
poeta wrący — choć nieboski —
do Manifestu lud zbierał
słowa, jak ogień martenowski:
ZIEMIA DLA LUDU
PRZEMYSŁ DLA LUDU
WOLNOŚĆ DLA LUDU.

Hej, towarzyszu wietrze, któryś
nie z wiatrów srebrnych jest przedszkola,
ale dorosłym, tęgim wiatrem
i byłym więźniem kas pancernych,
najeżdżaj pięknem czasu, zalej
głodne gardziele armią chleba.

Radośnie tak smyczkuje wiatr,
towarzysz chłopów i poetów:

Powstańcie, których gnębił głód.

DO TOWARZYSZA PRASZCZURA

Towarzyszu praszczurze,
gdyby towarzysz żył z nami,
nie chodziłby towarzysz z maczugą,
ale pracował na dole, na kopalni.

Takie muskuły, takie bary
pracy służą.
Pisałby o nich wiersze proletariacki poeta,
węgla byłoby dużo.

Ano, trudno. Przez wieki,
burząc jaskinie, potraciliśmy mięśnie,
żeby dymiły fabryki,
żeby żyć dobrze, współcześnie.

Nasz kraj, jak republika zdrowia,
wszystkie miesiące, jak lipiec
i jak poezji
ryba głębinowa
są w nas
świecące serca elektryczne.

A towarzysz, co?
Towarzysz znał tylko
zębów trzonowych ostrze,
mięsa rożen.
Jest w nas wprawdzie jeszcze trochę z ciebie,
towarzyszu jaskiniowcze,
ale to
pochłonie lat brzuchate morze.

Kawał czasu śliczny,
a wam, towarzyszu,
zapewne nie przyszło do głowy
co znaczy materializm dialektyczny
i w mięśniach
5 lipców roboty,
a jak
cegły układać, by bukiet
domów — światła płatkami wybuchał
i jak
w nowy, dobry ustrój dmuchać
żeby do góry szedł, jak księżyc,
żeby wiedzieć, jak śmiać się od ucha do ucha.

Dopiero lata — a to już coś znaczy,
lecz trzeba jeszcze trochę zaczekać
aż:
całkowicie spocznij, towarzyszu praszczurze,
w trudzie lat tysięcy przerobiony w człowieka.

Fragmenty poematu „35 milionów"

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

„SPACERKIEM PRZEZ PONIATOWSZCZAKA"

„Słyszysz za oknem szelest
bosych nóg?
Płyną jak widma głowy
w białych chustkach.
Idą mosty budować na zgli-
szczach i pustkach,
Strzeliste wieże, sieci dróg".

Antoni Słonimski

Ruiny Warszawy pokryte czapami śniegu i zanurzone w brudnym błocie były jeszcze wyłącznie obrazem totalnego zniszczenia, były dokładną realizacją obietnicy gubernatora Franka, że za odchodzącymi stąd Niemcami nie pozostanie kamień na kamieniu — a już na Kowelskiej 4 dyskutowano plany przyszłej stolicy.

Do niedawna losy miasta stały pod wielkim znakiem pytania. Wprawdzie 1 stycznia roku 1945 gdy na lewobrzeżnej Warszawie jeszcze tkwili hitlerowcy, systematycznie podkładając ogień pod coraz to nowe domy, już na Pradze dziesięciu robotników i czterech inżynierów naradzało się nad planem odbudowy miasta, chcąc go przedstawić rządowi. Były to jednak bardziej marzenia aniżeli konkretne projekty; nikt nie znał prawdziwego stanu zniszczeń w całym mieście. Wprawdzie w dzień potem, 2 stycznia, plenum Krajowej Rady Narodowej zasiadającej w Lublinie uchwaliło na wniosek warszawiaka Rumińskiego, przyszłego ministra przemysłu, jednogłośnie *„...że odbudowa Warszawy jest jednym z zasadniczych zadań państwa w dziele odbudowy kraju, KRN wita powstanie komitetu Odbudowy Warszawy i poleca rządowi udzielić mu wszelkiej pomocy w przeprowadzeniu odbudowy Stolicy"* — lecz gdy siedemnastego stycznia pierwsi przedstawiciele Rządu Tymczasowego przekroczywszy po lodzie Wisłę stanęli oko w oko z oceanem gruzów, jakie zamyślali uczynić Stolicą Państwa, sercami ich zatargało zwątpienie. Pierwsza rozsądna myśl kazała zastanawiać się czy warto odbudowywać te ruiny, czy przypadkiem nie taniej dla kraju wypadnie wznieść gdzieś indziej nowe miasto, a Stolicę umieścić w Łodzi, Krakowie czy w Katowicach, które były przecież całe. W łonie samego rządu odezwały się głosy wątpiące. Jedni ministrowie operowali cyframi, mającymi udowodnić ryzyko intensywnego angażowania się w dzieło odbudowy ruin i wobec tego konieczność przeniesienia Stolicy do innego — po Poznaniu, Krakowie i Warszawie czwartego miasta. Inni ministrowie byli temu przeciwni, lecz brak im było argumentów cyfrowych — a te przecież przekonują najsilniej — dla poparcia uczuciowo przez nich pojmowanej tezy, iż bez ustanowienia ruin Warszawy stolicą kraju, bez wynikającej z tego absolutnej konieczności prędkiej odbudowy miasta, przy rezygnacji z leczenia Warszawy kosztem zaspakajania innych potrzeb narodu — miasto może się już nigdy nie odbudować. Sama gorliwość ludzi chcących zaludniać ocalałe piwnice, nad którymi kołyszą się porwane stropy, a wypalone ściany oczekując zawalenia grożą zasypaniem — nie wystarczy. Uciekną na koniec zmordowani w inny łatwiejszy świat, jeśli ruinom tym nie nada się w międzyczasie sensu życia, jeśli nie obwoła ich się po raz wtóry Stolicą. Na poparcie takiej myśli nie było cyfr. Była tylko intuicja — zupełnie heroiczna.

Pierwszego lutego w domu na ulicy Śnieżnej — takiej odległej od świata, nikomu chyba nieznanej, praskiej ulicy — zwołane zostało posiedzenie ministrów wraz z przewodniczącym Krajowej Rady Narodowej. Dłużej nie można było przeciągać sprawy. Trzeba było decydować. Wóz albo przewóz, Warszawa albo Łódź. Gorąca była dyskusja. Szala chybotała się między obu racjami. Długo nie było żadnej zgody. Argumenty zbijano argumentami. Cyfrom przeciwstawiano psychikę narodu. Rachunkom intuicję. Na koniec obrady osiągnięły punkt kulminacyjny — wszystko zostało powiedziane. Należało decydować. I wtedy Prezydent Bolesław Bierut rzekł:

— Zostajemy w Stolicy. Tutaj na Śnieżnej czekać będziemy na resztę rządu, który przybędzie z Lublina...

Rząd przyjechał z Lublina do dziesięciopokojowego domku na Śnieżnej, niektóre tylko swe agendy, zbędne chwilowo w nieistniejącym mieście, lokując w Łodzi. Z Podhala zjawił się akurat kilka dni wcześniej inż. Stanisław Tolwiński, który wespół z innymi architektami i urbanistami w czasie okupacji zajmował się zagadnieniami odbudowy, a raczej przebudowy i unowocześnienia Warszawy. Wysłano go samolotem do Krakowa, do Katowic i Łodzi by zewsząd, skąd tylko można było, ściągał swych współpracowników i kolegów.

Drzwi mieszkania na Kowelskiej nie zamykały się od przepływającego nadmiaru ludzi. Przychodzili jedni zaznaczać, że już są i natychmiast wysłani przez wicekierownika BOS Płapisa ruszali w morze ruin, by blok za blokiem, kwartał za kwartałem, dzielnica za dzielnicą ustalać stopień zniszczenia, nanosić na plan miejski położenie ocalałych z pożaru i bomb wysepek. Należało przede wszystkim wiedzieć jak naprawdę wygląda Warszawa.

Tymczasem patrole inwentaryzacyjne ustalające wysokość zniszczeń wracały z owocami swej pracy już nie na odległą Pragę, tylko na bliską Chocimską gdzie pod 33 wynaleziono niezniszczony dom. Tylko kilka ścianek wyrwanych było pociskami, za to szyby uchowały się aż w trzech pokojach. W jednym ustawiono żelazną kozę i przy takim wyposażeniu zliczano rozmiary klęski.

Ciepłe wiatry prędko stopiły śnieg tej zimy. Ruiny taplały się w gliniastej, błotnej bryi, czarnej, brudnej i ohydnej. Pierwsi murarze nieśmiało, jakby nie wierząc, iż własne siły wobec żywiołu ruin mogą coś poradzić, remontowali dom na Chocimskiej 33, dokąd większość pracowników poczęła codziennie zjeżdżać dużym „Dodgiem" aż z Kowelskiej. Inni próbowali koczować już na miejscu, na stałe. Wstawiali w okna dyktę, „szabrowali" jakieś kozety lub tapczany z okolicy i mieszkając tak na granicy śródmieścia i Mokotowa rozpoczynali odbudowę Warszawy.

W pierwszych dniach marca dom na Chocimskiej był gotów. Był to pierwszy wyremontowany budynek w lewobrzeżnej Stolicy.

BOS zaczął działać normalnie. Jeśli słowo „normalnie" w kontekście zniszczonego w 80 proc. miasta miało prawo być użyte.

BOS mierzył, obliczał i wiódł spór o metodę, a tymczasem ruiny utrzymane stolicą budziły się tak spontanicznie i tak gwałtownie do nowego życia, że już niebawem mowy nie było o tym, by urbanistyczne racje mogły być bezapelacyjnie ważniejsze. Ponad wszystko był żywioł ludzki, który niby krew wszelkimi żyłami napływać zaczął w letargicznie uśpione członki organizmu.

W chwili szturmu na Warszawę — na Pradze mieszkało około 140 tysięcy ludzi. Niemal równocześnie z wejściem do lewobrzeżnego miasta wojsk polskich i radzieckich, rozpoczął się napływ dawnych mieszkańców, najpierw oczywiście z okolic położonych nieopodal rogatek miejskich, potem z coraz dalszych, a wraz z uruchomieniem pierwszej, niesamowicie prymitywnej, łączności kolejowej — przyjeżdżać poczęli warszawiacy nawet z najodleglejszych prowincji. Obładowani to niewielkimi to znowu potężnymi tobołami — zależnie od ujawnionego w powstańczych miesiącach sprytu osobnika — dźwigali swój nowy dobytek aż hen zza dworca Zachodniego, gdzie w szczerym polu zatrzymywały się pociągi, lub od Szczęśliwic, gdzie podwoziła nas Elektryczna Kolej Dojazdowa, lub pontonowym mostem czy przez lód z Pragi. Przybysze lokowali się od razu na stałe w Warszawie, pośród odstręczających ruin, dymiących jeszcze pożarami, cuchnących trupami ludzi i truchłem koni.

Już w lutym Warszawa liczyła 174.000 mieszkańców, z czego ponad trzydzieści nocowało już stale na lewym brzegu. W marcu było już 241.000 ludzi. W kwietniu 318.000. Nigdy przedtem, ani nigdy już potem, wzrost Warszawy nie był tak gwałtowny. W ciągu dwóch miesięcy przybyło koło 180 tysięcy ludzi.

Jeszcze był wściekły pogodą luty, zimno przenikało wszędzie z tym większą łatwością, iż nie broniły mu wstępu szyby ani drzwi, a ludzie w najlepszym razie owijali się w lekkie tylko paletka. Ulice były zawalone gruzem; ledwo odgarnięto barykady i cegły z Marszałkowskiej, Puławskiej, Grójeckiej, Królewskiej, Krakowskiego Przedmieścia, Nowego Światu, Alei Jerozolimskich i Ujazdowskich, oraz z dojazdu do wysokowodnego mostu łączącego na wysokości Karowej obie strony rzeki. Jeszcze nawet w „Osiemnastce" wyważonej z szyn na Marszałkowskiej przy ul. ks. Skorupki nie było prowizorycznej jadłodajni. Była to ledwo połowa lutego.

A mimo to były już w mieście pewne istotne newralgiczne punkty — w których rozpoczęto przekopywanie gruzów, czyszczenie żelaza z rdzy, montowanie z kilku starych maszyn, Bóg jeden wie gdzie poznajdywanych, jednej nowej, czy wręcz prowizoryczną odbudowę murów.

W Fabryce Gazu na Woli już od 19 stycznia, więc w dwa dni po zajęciu Warszawy, ekipa przybyłych z Pragi inżynierów i robotników przystąpiła do przyspasabiania remontu maszyn wytwórczych i przemysłowych. Zniszczeniu uległy tutaj budynki fabryczne i biurowe, warsztaty mechaniczne, stacja zbiornikowa, podziemna sieć gazowa, gazomierze w tysiącach mieszkań, wywiezione zostały warsztaty mechaniczno-elektryczne. Ogólny ubytek majątku gazowni określany był na 46 proc. i wobec tego nazywano — przez analogię z otoczeniem — iż stan jest „bardzo dobry". Była to jednak statystyka, której — jak wszędzie — wygląd faktyczny nie bardzo chciał potakiwać, spiętrzając przed przybyłym patrolem gazowników hałdy gruzu i przepalonych maszyn. 19 stycznia rozpoczęto prace nad odbudową gazowni stołecznej. W lutym były one już daleko zaawansowane. Ale trudno to było dostrzec.

Bardziej zniszczona była Elektrownia. Szacunek majątkowy określał — 50 proc. Praktycznie — było to 100 proc. Budynki zniszczone były przez bomby zrzucane na Elektrownię w czasie Powstania w stopniu tak bardzo wysokim, że Niemcy zrezygnowali z grzebania się w gruzie i w ten sposób szereg cennych maszyn Kotłowni i Maszynowni ocalało przed wywiezieniem. Do Rzeszy pojechała prawie cała Rozdzielnia. Zniknęło 32 proc. transformatorów i cztery podstacje. W dniu zdobycia miasta zjawiła się na Wybrzeżu Kościuszkowskim pierwsza ekipa pracowników Elektrowni i wraz z zespołem wojskowych techników radzieckich przystąpiono natychmiast do odbudowy. Orano po 12 godzin na dobę. Kilkudziesięciu pracowników i robotników spało i jadło na miejscu, zadowalając się byle jakimi warunkami życia. Turbozespół o mocy 6000 kW ofiarowany został przez ZSRR. Nie zważając na śnieg i słotę na całą parszywą pogodę lutową, powoli krok za krokiem, posuwano pracę nad uruchomieniem Elektrowni. Oczywiście w pierwszym rzędzie chodziło o rozpoczęcie samej produkcji elektryczności, dostarczenie jej do mieszkań było zagadnieniem dalszym.

Jeszcze najkorzystniej przedstawiały się budynki Stacji Filtrów — brakowało jedynie (jedynie!) wywiezionych maszyn i elektro-pomp. Stacja Pomp Rzecznych na Czerniakowskiej leżała w gruzach; również Stacja Wodociągowa na Lipowej. Silnie uszkodzona była na mieście sieć wodociągowo-kanalizacyjna. W lutym pracowano nad odbudową korzystając z technicznej pomocy Misji Radzieckiej.

11 lutego pierwszych sześciu ludzi pojawiło się w spalonym gmachu „Prasy Czerwonej" na Marszałkowskiej, nieopodal placu Unii Lubelskiej. Stropy trzymały się dobrze, lecz mury oraz wszystkie maszyny drukarskie — linotypy, monotypy, rotacje — spalone były zupełnie, rotograwiura i chemigrafia — zniszczone. Obejrzano totalną ruinę. Pomedytowano. Pokręcono się po Warszawie — i zadecydowano odbudowę.

Była to wielka szansa dla sprzedawanego przez domorosłych gazeciarzy „Życia Warszawy". Ten dziennik, jedyny prawdziwy łącznik między mieszkańcami rozległego miasta, z uporem wydawany już od września ubiegłego roku na Pradze, drukowany gdzieś na Grochowskiej — miał nader skromną szatę zewnętrzną. Pasującą do ruin, ale niegodną Stolicy o jakichś ambicjach. Na Marszałkowskiej szykowano mu lepszy los.

Z zawalonych hal Wareckiej 11, przed wojną była tam „Drukarnia Polska", windowano wielką dwudziestotonową maszynę rotacyjną. Wyciągano ją spod zsypanego stropu, podkopując się pod maszynę i pasując wielkie żelazne szyny, by po nich móc wytoczyć kolosa drukarskiego. Na małym trzytonowym samochodzie, radziecki szofer z nieprawdopodobną wariacką fantazją odwoził sześcio i siedmiotonowe segmenty maszyny na Marszałkowską. Tutaj pracowały dwie współzawodniczące ekipy monterów: polska i radziecka. Radziecka montowała mniejszą, polska — większą rotację. Pierwsze współzawodnictwo pracy w dziale odbudowy. Składano maszyny pożywiając się czarnym chlebem z poniemiecką marmeladą, czyszczono je na przekór pogodzie, która wdzierając się nieobecnymi oknami co noc pokrywała je nową warstwą rdzy; broniono się wprawdzie przed tym umieszczając w miejscach szyb stare matryce, lecz to nie wiele pomagało. Na pogodę ratunkiem i tu, i na Czerniakowskiej przy Stacji Pomp, i na Wybrzeżu Kościuszkowskim w Elektrowni, i na Woli w Gazowni — było tylko jedno: upór człowieczy i piekielna ambicja, by dzieła dokonać mimo wszystko!

Gdy tak sposobiono nową maszynę drukarską, „Życie Warszawy" wezwało ludzi do ochotniczej pracy nad oczyszczeniem Stolicy. Inicjatywa społeczna odniosła skutek. 4 marca — była to niedziela — 6000 pracowników biur i instytucji stanęło ochotniczo przy łopatach i kilofach, by odwalać gruz z co ważniejszych ulic. Odtąd każdy dzień wolny od zajęć zawodowych mieszkańcy miasta poświęcali takiej pracy. Było to niezbędne, by móc poruszać się po Warszawie. 15 marca powołano do życia Ochotnicze Brygady Pracy. BOS ogłosił, iż zakupi w każdej ilości wszelkie przybory takie jak widły do gruzu, łopaty, młotki murarskie. Niebawem falangi ludzi, zdawałoby się nieużytecznych: chłopców, dziewcząt, kobiet, nawet osób starszych uformowanych w Brygady Pracy stało się nieodłączną częścią krajobrazu ruin. Nie byli to pracownicy wydajni. Ale — dobrzy i tacy! Dzięki nim i dzięki dorywczej akcji ochotniczej oczyszczono do pierwszego czerwca 165 km. ulic i wyprzątnięto 130 km. kwadratowych wypalonych a grożących katastrofą posesji. Aż do lata pracowały te brygady, potem zastąpione przez formacje bardziej sprawnych robotników.

W połowie marca rząd przeprowadził się ze Śnieżnej do dużego gmachu dyrekcji kolejowej na Wileńską. Ze Związku Radzieckiego nadszedł pierwszy transport obiecanych domków fińskich. Drążono się ku Miastu z dwóch stron — od zachodu i od południa — ekipy robotnicze układając szyny i słupy, odbudowywały trakcję obu kolejek dojazdowych: WKD i EKD.

Rozpoczęto myśleć nad mostem Poniatowskiego. Kronikarz BOS Grażyna Woysznis-Terlikowska w poniższych słowach utrwaliła najwcześniejsze wspomnienia profesora Hempla: twórcy obecnego mostu Poniatowskiego:

„Historia zaczyna się w końcu marca 1945, pewnego chłodnego i wietrznego dnia. Stoimy (bo nie było na czym siedzieć) w zimnym jak psiarnia pokoiku w BOS rozmawiamy o tym i owym, i ktoś nagle powiada: — Wiecie, właściwie powinniśmy odbudować most Poniatowskiego.

Dalej już było trochę jak w powieści. Bo w tym momencie otwierają się drzwi, wchodzi generał, przedstawiciel wojska polskiego i mówi: — Ja tu właśnie w tej sprawie. I od razu do mnie:

— Czy pan się podejmie odbudować Most?

— Tak.

— Co panu jest potrzebne?

— Możemy mieć wszystko z wyjątkiem transportu.

— Z czego pan chce budować?

— Z drzewa, bo stan hut śląskich jest taki, że o konstrukcji stalowej nie ma mowy.

— Jaki pan chce obrać system konstrukcji?

Generał przysiadł na brzegu połamanego stołu i w przeciągu pół godziny ustaliliśmy sobie system.

— Proszę o szkic na jutro — powiada generał.

— Nie mogę panie generale, bo nie mam papieru.

Ale na pojutrze szkic był gotów. Zatwierdziło go wojsko i zaraz zorganizowaliśmy pierwszy „szaber" bosowski: za papierami urzędowymi wystawionymi przez wojsko jeden z naszych kolegów zamarźnięty na kość ale strasznie dumny przywiózł dwie ciężarówki maszyn.

Na podstawie zatwierdzonego szkicu zrobiłem projekt mostu drewnianego, zanim go jeszcze skończyłem; okazało się że huty mogą już wykonać konstrukcję stalową, więc od razu zrobiłem szkicowy projekt prowizorycznego mostu stalowego. Odbudowa miała być prowizoryczna".

Szła wiosna a z nią życie.

W kwietniu ciepło słońca silniej uderzyło na miasto, jakby chcąc powetować mieszkańcom trud przetrwania tej ciężkiej zimy. I kalendarz odbudowy Stolicy zaczął teraz nieustannie odnotowywać zupełnie konkretne sukcesy.

8 kwietnia w piwnicach i na parterze jeszcze nie odremontowanego i nie oszklonego budynku na Marszałkowskiej ruszyła maszyna rotacyjna i trzy linotypy. „Życie Warszawy" przeniesione zostało z Pragi do śródmieścia.

W połowie kwietnia Mokotów z Pragą połączony został pierwszym autobusem — pożal się Boże! Była to zwykła ciężarówka — która odwoziła do pracy i do domu pracowników samorządu.

Na Wiejskiej i na Nowogrodzkiej przechodnie spostrzegli zespoły murarskie, jak remontowały, w pełnym znaczeniu tego słowa dwa gmachy: „Romę" i „Hotel Sejmowy"; szykowano je na sesję Krajowej Rady Narodowej, mającej niebawem po raz pierwszy obradować w Warszawie.

26 kwietnia uruchomiony został w Elektrowni turbozespół. Instytucjom państwowym i szpitalom dostarczony został prąd po raz pierwszy.

Równocześnie przybywa mieszkańców, przybywa sklepów, przybywa wyreperowanych gospodarskim systemem izb mieszkalnych. Zaradność remontowa warszawiaków wydaje się nie posiadać granic. W oknach pojawiają się szyby. Swoiste postępy czyni odbudowa psychiczna. Ludzie pragną wygody, nawet luksusu. Mieszkańcy Mokotowa zaczynają się publicznie skarżyć, że wskutek detonacji nieuniknionych przy burzeniu ruin szyby w ich oknach pękają. Niejeden warszawiak obserwując tłok na Marszałkowskiej — ciągle jedynym centrum handlowym śródmieścia — wzdycha żałośnie i wygrażając przeklina BOS — czyni to nawet serio — iż po dziś dzień *jeszcze* nie odbudował Warszawy. A od uwolnienia Stolicy minęło niewiele ponad trzy miesiące. Cóż, każdy z nas wtedy nosił nie byle jaką buławę w swym tornistrze i wydawało mu się, że będąc Premierem, Prezydentem czy tylko kierownikiem BOS on by już potrafił Warszawę odbudować.

Z nadejściem maja mnożą się widoczne akty odbudowy. Organizm zaczyna pracować coraz sprawniej.

1 maja wiele tysięcy robotników demonstrujących w pochodzie radość i wolę odbudowy posiadało już dowody swej sprawności, które niedługo wyłożyć miało na widok publiczny. Tegoż dnia w wyremontowanej „Romie" rozpoczyna obrady zastępczy Sejm Rzeczypospolitej, a w Muzeum Narodowym — którego ratunek i odbudowa mają swą zupełnie osobną i nad wyraz chlubną kartę — otworzona zostaje pierwsza powojenna wystawa: wystawa gruzów, ruin i zniszczeń, wystawa mająca być świadectwem hitlerowskiej barbarii; „Warszawa oskarża" — była jej prosta nazwa. I jakby specjalnie dla dokonania symbolicznego gestu zdążyła jeszcze zostać otwarta na dwa dni przed upadkiem Berlina, osiem — przed ostatecznym finałem drugiej wojny światowej.

Koniec wojny Warszawa zadokumentowała swoiście. Dziewiątego maja kolejka EKD, będąca dla tysięcy warszawiaków nieoszacowaną instytucją łączącą ich miejsce pracy z domami mieszkalnymi, doprowadzona została do Marszałkowskiej. Od tego dnia dojeżdżała już do samego śródmieścia. Za-

(Dokończenie na stronie siódmej)

Głos mają budowniczowie Trasy WZ - Głos mają budowniczowie Trasy WZ

JÓZEF SIGALIN

TRASA WZ

Spostrzeżenia o jej budowniczych

Mieszkańca Warszawy, który na przestrzeni ostatniego 1½ roku „chadzał na WZ" zadziwiały i zadziwiają dziś przede wszystkim dwie rzeczy: szybkość, z jaką Trasa WZ została zbudowana i urzekające piękno budowy. („Nasza Stara Warszawa odżyła" — jak mówią. „Piękna ta nasza Nowa Warszawa" — jak mówią, zresztą ci sami). Zarówno jedną jak i drugą cechę nadali Trasie WZ jej budowniczowie. Przyswajanie tych cech działo się niejako na oczach publiczności. Mechanika tego procesu przed oczami widzów była ukryta. Tkwiła w ludziach. Zejdźmy do maszynowni Wuzetowskiego okrętu, przyjrzyjmy się źródłom energii.

Na budowie Trasy WZ zatrudnionych było w samej Warszawie około 6 tysięcy ludzi, nie licząc robotników na Śląsku i w innych ośrodkach kraju, które dostarczały materiałów i sprzętu do budowy. Każdym człowiekiem powodowało na pozór to samo („zbudujemy dla Warszawy piękną Trasę WZ"!...), a jednak każdy miał swój odrębny, indywidualny powód osobisty. W każdym inaczej przełamywała się konsekwentna wola i swobodna chęć tworzenia. Ilu ludzi, tyle przyczyn. Nawet cecha wspólna wszystkim — to, że każdy po raz pierwszy pracował na budowie o tak wielkiej skali, że odmładzającej operacji dokonywano na żyjącym organizmie swojego miasta (bez narkozy!), nie zmienia faktu, że w każdym człowieku zbliżone nawet pobudki działania innymi drogami zamieniały się w samo działanie.

Na budowie Trasy WZ olbrzymia większość robotników pracowała świadomie. Jednymi powodowała skrystalizowana świadomość klasowa, lecz nieskrystalizowana jeszcze świadomość skali i piękna pracy. Drudzy zdawali sobie dobrze sprawę z tego, co i jak budują, nie umieli jednak powiązać tego ze sprawą budowy lepszego ustroju społecznego — socjalizmu. Byli robotnicy, których pasjonowało współzawodnictwo, którzy widzieli w nim możność szybszego wykonania roboty mniejszym nakładem wysiłku fizycznego i z lepszym skutkiem finansowym. Byli robotnicy, którzy w wolnych chwilach wpadali do świetlicy lub do pracowni architektonicznej, aby przyjrzeć się szczegółom projektu, zadawali pytania, opowiadali potem innym. Coraz mniej liczną — i to w sposób zupełnie widoczny — stawała się grupa robotników, dla których kładzenie cegły w tym czy innym miejscu, w takim czy innym celu było całkiem obojętne. Ludzie wciągali się, zainteresowanie pracą czyniło ją po prostu pasjonującą. Niejednym robotnikiem powodowało poczucie honoru pracowania na największej budowli w Warszawie, niejednym powodowało uczucie zadowolenia, że oto jego pracy przyglądają się codziennie tysiące ludzi, że ją podziwiają. Zadowolenie przekształcało się w zachętę, w bodziec do pracy, przyśpieszało budowę. Powszechnym zjawiskiem wśród budowniczych Trasy WZ była uparta wola odbudowy swego miasta, którego gruzy w ich pojęciu nie powinny już być krajobrazem dla następnych pokoleń. To była zawziętość warszawska, polska. Robotnikom, członkom Partii, pomagało ponadto poczucie dyscypliny partyjnej, rosnące w miarę zrozumienia roli Partii na budowie, w życiu Polski. Niesposób wykryć i ocenić wszystkie przyczyny, które w ludziach na budowie, w robotnikach, tkwiły. Wydaje się to niezwykle wdzięcznym tematem pracy dla „inżynierów dusz ludzkich" — dla literatów.

A jakież dodatkowe bodźce do pracy — pracy niezwykle wytężonej, która stale musiała wyprzedzać coraz to pośpieszniej rosnące potrzeby wykonawców na budowie, tkwiły w architektach. Możność twórczego wyżycia się — świadomość wielkości tworzonego dzieła, świadomość odpowiedzialności za zaprojektowanie obiektu, który musi być użyteczny i piękny i jakże ludzka ciekawość; ciekawość tego, jak też grać będą ze sobą w naturze wszystkie zaprojektowane elementy. Mówiąc językiem potocznym — jak też to będzie wszystko wyglądało? Stąd, wzrastająca natychmiast po zaprojektowaniu — niecierpliwość: dlaczego to jeszcze nie zrobione? Dlaczego się tego nie kończy? Widok powstającej za oknami Pracowni Trasy WZ i kolonii Marienstackiej „w skali 1 : 1", oglądany poprzez stojącą wewnątrz Pracowni makietę w skali 1 : 250, niecierpliwość tę podniecał. Powodowała architektami świadomość, że praca ich jest pilnie potrzebna całej ludności miasta, że czeka na nią dziecko, idące z Pragi do szkoły w Warszawie i robotnik fabryczny z fabryki na Woli, mieszkający na Targówku, że czeka na nią cała ludność Warszawy, dla której zagadnienie powrotu do życia Warszawy dawnej, jest wielkim bodźcem do tworzenia Warszawy nowej.

Architekci mieli ambicję. Mieli ambicję wykucia oręża urbanistyki, dania tego oręża w godne ręce ludności Warszawy, aby posługiwała się nim w poczynaniach planu 6-letniego, aby wymowa dzieła architektów stała się dla wszystkich zrozumiała, aby architektura stała się przedmiotem codziennej potrzeby, aby każdy zrozumiał, że architekt jest twórcą dóbr powszednich. Oto źródło realizmu w architekturze, oto warunki, w których ten realizm mógł i powinien był się zrodzić. Czy zrodził się? Trudno to jeszcze dziś ocenić. Ale że zalążki jego tkwią w architekturze Trasy WZ, to chyba stwierdzić można z pewnością.

Ambicje architektów pobudzane były przez postawę robotników, z którymi większość projektantów zetknęła się tak bezpośrednio po raz pierwszy. Architekci dostrzegli żywego człowieka, dojrzeli jego świadomość. Świadomością tą nie można było nie nasiąknąć. Współdziałanie było faktem konkretnym. A inni? Inżynierowie, technicy, dyrektorzy? Mieszanina ich ambicji zawodowej, osobistej, świadomości społecznej, trudną jest do rozbicia na uporządkowane elementy. Ambicje wypływały z różnych temperamentów, usposobień, z różnych dróg

rys. Marek Rudnicki

Sylwester Karczmarek, przodownik pracy, przy budowie dzwonnicy kościoła Bernardynów.

życia minionego, z różnych nurtów włączania się w życie nowe. Stwierdzić trzeba, że mieszanka była wybitnie wybuchowa i że siły dynamicznej jej nie brakło. Jedność inżynierów i robotników wykuwała się najszybciej w momentach trudnych, w momentach, w których napięcie na budowie rosło do skali iście dramatycznej, kiedy budowa stawała się terenem prawdziwej bitwy z czasem, z fizycznymi cechami materiałów, z przyrodą. Były momenty w czasie wykonywania czynu kongresowego, czynu 1-Majowego, w ciężkim okresie walki ze zsuwem wzgórza św. Anny, wreszcie na finiszu budowy, kiedy zachowanie się ludzi z Trasy WZ cechowała niezwykła solidarność, wyrastająca z woli pokonania zaistniałych trudności. Właściwym określeniem byłoby tu: „na przekór wszelkim trudnościom". Sceny z narad wytwórczych w tych momentach trudnych, z posiedzeń komitetów partyjnych na budowie, z nocnych odpraw kierownictwa budowy były tą epiką, w której element romantyczności budownictwa socjalizmu wyłowić łatwo. Trasa WZ zrodziła się z entuzjazmu jej budowniczych. Transparenty szybko blakły na słońcu, pasja wewnętrzna rozpalała się stale. 17 lipca był punktem wrzenia.

Mowa jest o ludziach. Ludzie ci zmieniali się wraz z budową, zmieniała się ich psychika, rozszerzały się horyzonty, zmieniał się ich stosunek do pracy. Rozpoczynając budowę późną jesienią r. 1947, nikt nie zdawał sobie sprawy ze skali zamierzenia, a jeśli ktoś nawet sprawę sobie z tego zdawał, to mimo wszystko nie wierzył, tak naprawdę, wewnętrznie, w możliwości realizacyjne. Nie wierzył dopóty, póki znów na scenę nie weszło słowo „na przekór". Przyznać trzeba, że niedowiarkowie odegrali bardzo pozytywną rolę w budowie Trasy WZ. Dzięki nim powstało tarcie — niezbędny warunek każdego ruchu. Szofer, wożący architektów po rozległych wertepach budowy, z początku przeklinał pracę. Pod koniec budowy mówił z dumą, że nie ma takiego miejsca, do którego by nie dojechał, nie mówiąc już o tym, że pierwszy przejechał przez most. Drugi szofer, czekając późną nocą na koniec pracy, pomagał wkładać plansze

rys. Marek Rudnicki

Władysław Brodaczewski, przodownik pracy, przy spawaniu mostu Śląsko-Dąbrowskiego.

(Dokończenie na stronie ósmej)

JAN KNOTHE

Rysunki autora

Kilka uwag o projekcie Trasy WZ

Na rok mniej więcej przed zawarciem pokoju, gdy większość steranych wojną mieszkańców Warszawy miała jeszcze w oczach dymy pożarów i rujnowane domy rodzinnego miasta, pisał Łukasz Opaliński:

„Zawiram małą tę pracę z uprzejmą ku oyczyźnie życzliwością, aby za przywróceniem pożądanego pokoiu, sztuki powróciły do nas, y cokolwiek woyna zrulnowała i zepsowała, to wszystko luby pokói naprawił. A iako ex ruinis lepsze czasem niż były wstawaią budynki, tak post tot variationes zakwitnieią".

(Krótkie wyjaśnienie: ...wojna polsko-szwedzka... pokój, o którym mowa, to pokój w Oliwie... data wydania książki Opalińskiego — rok 1659... tytuł: „Krótka nauka budownicza Dworów, Pałaców y Zamków podług Nieba y zwyczaiu polskiego").

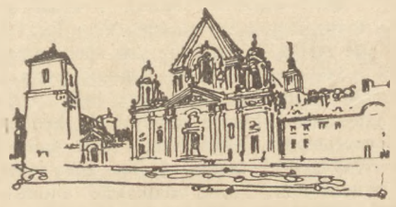

Kościół Bernardynów od Krakowskiego Przedmieścia

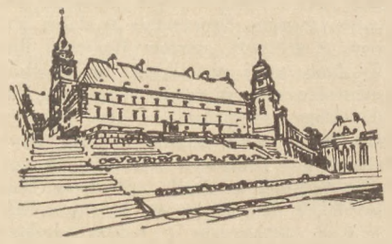

Zamek do strony Trasy W—Z

Wszystko to razem brzmi jak anachronizm przemieszany z najbardziej drażniącą aktualnością.

Mamy tu i zagadnienie odbudowy, i postawiony w tytule problem architektury narodowej. I jeżeli jeszcze porównamy dzisiejszą definicję: „architektura jest wyrazem przestrzennym procesów społecznych", to te Zamki, Pałace y Dwory w zestawieniu z datą okażą się zupełnie na miejscu. Nawiasem należy dodać, że książczyna Opalińskiego (zresztą wydana bezimiennie), to pierwsza w ogóle polska książka o architekturze, a wojna szwedzka to pierwszy dla Warszawy i kraju najazd niszczycielski. Zbieżność tych dwóch faktów jest znamienna. Książka ukazała się, bo była potrzebna. I wówczas, i dziś architekt działa na podstawie — jak byśmy to mogli nazwać — zamówienia społecznego. Z pobłażliwym rozczuleniem patrzymy na tę „oyczyznę", którą można było odbudować wyprodukowawszy pewne quantum Dworów i Pałaców w obowiązującym za panowania JKMości Jana Kazimierza modnym fasonie. Dziś zniszczenia są większe, problemy bardziej skomplikowane — zamówienie społeczne określa nie tylko zakres odbudowy, lecz i termin, i to termin odwrotnie proporcjonalny do potrzeb — nieprawdopodobnie krótki.

Potrzeba społeczna nakazała realizację trasy WZ. Dlaczego właśnie to założenie poszło na pierwszy ogień? Wiele przyczyn złożyło się na tę decyzję: potrzeby komunikacyjne, mieszkaniowe i nie najmniej ważny sentyment warszawiaków do tej właśnie a nie innej dzielnicy Warszawy — niepozbawione pikanterii przekonanie, że pierwsze nowoczesne w wielkim stylu założenie komunikacyjne stolicy integralnie połączy się z jej najstarszymi i najbardziej obarczonymi tradycją rejonami.

Mniej więcej 22 miesiące temu powołano do życia pracownię projektodawczą i zmontowano aparat wykonawczy. Dyskusje poprzedzające tak ważną decyzję udowodniły, że sprawa dojrzała dostatecznie i przeprowadzenie jej wymaga określonej ilości rzemiosła projektodawczego i techniki realizatorskiej. Tak to się mówi; ale nam, którzy mieliśmy ten projekt wykonać, skóra cierpła na grzbiecie po dokładnym rozpatrzeniu się w terenie i w zasięgu, nie tyle technicznym, ile, jakby to można z grubsza określić, ideowym, zabiegów projektodawczych. Jak się okazało w praktyce, zakres zamierzeń puchł w ciągu roboty z nieprawdopodobną szybkością. (Mała ilustracja: na rynku Marienstackim początkowo miano odbudować cztery czy pięć częściowo zachowanych domków zabytkowych jako pomieszczenia zastępcze dla mieszkańców wyburzonych ruin — w rezultacie wybudowano czterdzieści trzy domy, stwarzając pełnowartościową kolonię mieszkaniową).

Architekt przystępujący do wykonywania projektu otrzymuje dwa rodzaje wskazówek — to co ma wykonać (program) i to czego mu robić nie wolno (ograniczenia wynikające z wszelkiego rodzaju przepisów i wytycznych planu miasta). W wypadku trasy WZ program był stosunkowo prosty — należało stworzyć przelotową arterię na kierunku wschód — zachód, dać dobrą architekturę, nie zatraciwszy wartości zabytkowych rejonu. Program aż zastraszająco prosty. Wszyscy nasi dostojni poprzednicy na tym terenie, jak Abrahamowicz, Schröger, Zug czy Aigner mieli zupełnie innego typu zadania. Nie istniał prawie dla nich cały ładunek tradycji, sentymentu i wspomnień zawarty w kluczowym miejscu starej Warszawy — nie musieli nic wskrzeszać — nie mieli poza sobą kompletnego zniszczenia rodzinnego miasta. Liczyli się wyłącznie z jednoosobowym klientem i własną indywidualnością twórczą. Szacunek dla zabytków był pojęciem nieznanym w naszym rozumieniu. Mieli poza tym pełne poczucie własnego majstersztwa. Na miejsce niemodnych, starych fasad dawali rzeczy skrojone według najświeższych fasonów. „Rysowanie ordrów i abrysów" nie kryło dla nich żadnych tajemnic i niespodzianek. Tak postąpił Aigner przebudowując kościół Bernardynów, tak robili inni.

Nasza sytuacja była trudniejsza. Otrzymaliśmy w spadku nie tylko kompleks niższości wobec renomowanych muratorów dawniejszych epok, lecz i niemały zasób istniejących w naturze lub pozostałych tylko w rysunkach inwentaryzacyjnych, elementów przyszłej kompozycji. Rzecz niemal bez precedensu w takiej skali — projektować trzeba było niemal równolegle z szybko postępującą realizacją. Trzeba stwierdzić, że nigdy chyba pracom budowlanym nie towarzyszyło takie zainteresowanie społeczeństwa — nigdy zagadnienia architektury nie były tak bliskie ogółowi mieszkańców. Może w epoce Odrodzenia — gdy sprawa gzymsu na palazzo Farnese tak mocno poruszała opinię, jak zwyżka lub spadek akcji giełdowych w pierwszych latach XX w. — należałoby szukać równej miary zainteresowania. Rzadko który projekt był robiony pod takim obstrzałem opinii publicznej, jak właśnie Trasa. Zainteresowanie a z czasem serdeczne poparcie najszerzej pojętego otoczenia niewątpliwie stworzyło atmosferę ułatwiającą sam proces kształtowania, ale z drugiej strony obciążyło jeszcze większą moralną odpowiedzialnością projektujący zespół architektów.

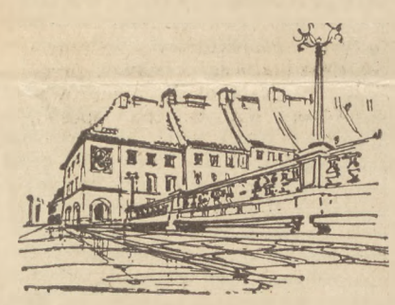

Fragment Rynku Mariensztackiego

Pisał kiedyś Mauriac, omawiając własne rzemiosło pisarskie, że dopiero wtedy pewien jest postawienia postaci powieściowej, kiedy doprowadziwszy ją do pewnego stadium, traci nad nią kontrolę — daje się, że tak powiem, ponosić. Postaci tworu literackiego zaczynają żyć własnym życiem i często tworzą sytuacje przez autora nie zaplanowane i nie przewidziane. Rzecz jasna, że tego typu metoda produkcji artystycznej nie jest regułą; jeżeli przypominam ją tu, to dlatego, że zespół projektodawców Trasy w pewnej fazie projektowania pracował jak w transie: dał się porwać tematowi i — jakby to powiedzieć — wszystkim pozaplastycznym także elementom nastrojowym terenu. Oczywiście metody pracy architektonicznej, zwłaszcza zespołowej, tak bardzo różnią się od metod twórczości literackiej, że nie można tu mówić o całkowitym utraceniu kontroli nad projektem. Działanie intuicyjne niemożliwe jest w zespole kilku ludzi przez dłuższy czas — poza tym architektura nieodłącznie powiązana z rzemiosłem, techniką i materiałem nie wytrzymuje fantazjowania. Fantazja nie daje się zrealizować, a projekt niezrealizowany nie jest jeszcze architekturą. Natomiast krótki czas przeznaczony w danym wypadku na stworzenie koncepcji, rozpracowanie jej i wykonanie, przy jednoczesnym bardzo dużym wkładzie uczuciowym zespołu, spowodował pracę „pod wielkim ciśnieniem". Szybko postępująca równolegle z projektem realizacja w terenie dała w efekcie typ roboty prawie rzeźbiarskiej, kiedy modelowanie bryły odbywa się od razu w żądanej skali, w materiale.

Do tematu nie przystąpiliśmy nieprzygotowani. Teren, przez który przechodzi dzisiaj Trasa WZ w jej najbardziej atrakcyjnym miejscu, był od dawna obiektem powszechnego zainteresowania i tematem licznych opracowań. Skarpa Warszawska podchodząca w tym miejscu najbliżej do Wisły, pejzażowo najciekawsza, praktycznie stwarza najlepsze możliwości przejścia przez rzekę, jest naturalnym punktem lokowania się miasta. Zmiany plastyczne sylwety miasta w tym punkcie skarpy, to historia Warszawy. Ulica Rybitwia (Rybaki), to pamiątka pierwszej osady rybackiej, gotyckie elementy Zamku i kościoła św. Anny — to remanenty księstwa Mazowieckiego, wieża zamkowa — okres Wazów — Renesans.; okres Saski: Zamek od strony Wisły, rokokowe domy i pałace Krakowskiego Przedmieścia; elewacja św. Anny, biblioteka Zamkowa, pałac Pod Blachą — to cechy wpływu perfumowanej indywidualności króla Stasia, znawcy sztuki i człowieka, który w tej dziedzinie dobrze wiedział, czego chce. Królestwo Kongresowe zostawiło po sobie kaplicę Loretańską kościoła Bernardynów, piękną Komorę Wodną na Bednarskiej oraz niezrealizowany projekt architekta Idźkowskiego przejścia tunelem pod Wisłą (...wszystko to już było...). Wiadukt pancerowski i most Kierbedzia, to czysto użytkowe produkty drugiej połowy XIX w. — a domy wzdłuż Nowego Zjazdu (taki kwiatuszek pozostał jeden, ale za to bardzo duży — dziś siedziba Związków Zawodowych) i fabryki (np. drukarnia Koziańskich) zaśmiecające skarpę i jej podnóże, to wrzody epoki rozpasanego kapitalizmu.

Tak przedstawia się w telegraficznym skrócie historia plastycznego oblicza rejonu (rozciągnięcie tego opisu na 7 km długości Trasy zajęłoby zbyt wiele miejsca i nie wniosłoby żadnych właściwie nowych elementów). Oprócz tego istniało wiele koncepcji i opracowań zmiany układu urbanistycznego węzła placu Zamkowego — poczynając od stanisławowskich projektów włączenia przebudowanej Katedry i Zamku do monumentalnie pomyślanego zakończenia Krakowskiego Przedmieścia i wspomnianego już projektu Adama Idźkowskiego, poprzez przedwojenny, odznaczony pierwszą nagrodą, projekt prof. Niemojewskiego, ukształtowania placu Zamkowego, poprzez okupacyjne teoretyzowanie na temat komunikacji ze wschodu na zachód — aż do szeregu projektów koncepcyjnych, wykonanych w ramach wszystkich Wydziałów Biura Odbudowy Stolicy, które ostatecznie zamknęły cykl najszerzej pojętych prac przygotowawczych i dały możność ustalenia ogólnych wytycznych dla mającego powstać projektu.

Techniczna strona zagadnienia, urbanistyczno-użytkowy jego aspekt powinien być omówiony obszernie gdzie indziej. Tutaj chciałbym się zająć raczej stroną plastyczną, jej wyrazem przestrzennym i drogami, które prowadziły do takiego a nie innego rozwiązania.

Od kilku lat patrzymy jakby w głąb amfilady pokojów, na której początku „straszny dziadunio" Corbusier z uporem i przy akompaniamencie hałaśliwej autoreklamy tryka łbem w dawno wyważone (przez siebie samego zresztą) drzwi — gdzie nieco dalej majstrują przy wyłamanych zamkach różni narodowo-klasyczni spryciarze i mdli rozmazywacze krajobrazów — na końcu zaś szturmuje się do jeszcze zamkniętych drzwi przeczuwanej od szeregu lat architektury nowej epoki, której forma ma z tej epoki wypływać i najdokładniej ją wyrażać.

Wlot Zachodni do tunelu wraz z zespołem budynków CZPM

Kto śledził uważnie ostatnie dyskusje na temat zagadnień architektonicznych — bądź to na marginesie omówień planu przestrzennego Warszawy, bądź to na kanwie deklaracji narady architektów partyjnych czy oddźwięków dyskusji i sformułowań naszych kolegów radzieckich — zrozumie niewątpliwie, o co chodzi.

Dla ilustracji ostatnio wysuniętych tez kilka cytat z artykułu inż. arch. E. Goldzamta (Nowe Drogi Nr. 3— 1949).

„Architektura jest to przestronne ujęcie (organizacja) procesów społecznych (definicja marksistowska w przeciwieństwie do idealistycznej definicji głoszącej, że „architektura jest to organizacja przestrzeni").

a dalej:

„...strona architektury, która ujmuje przestrzennie materialną podstawę procesów społecznych, jest jej treścią — ta zaś strona, która ujmuje nadbudowę ideologiczną procesów społecznych, jest formą architektury".

„Aby treść socjalistyczna architektury dotarła do świadomości mas, aby mogła wykonać swe zadanie ideowo-wychowawcze, musi ona przemówić językiem prostych, zrozumiałych i bliskich ludowi form. Muszą to być formy mające rezonans w kolorycie życia danego kraju, jego pejzażu architektonicznego, słowem, tego czym żyje lud tego kraju. Muszą to być formy narodowe".

Jeżeli zestawimy te zdania z tytułem książki Opalińskiego, będziemy mogli określić „Dwory, Zamki y Pałace" jako przejaw siedemnastowiecznych stosunków społecznych, a „Niebo y zwyczai polski" jako postulat formy narodowej. Dzisiejsza materialna strona rzeczywistości społecznej domagająca się wyrazu we wszystkich przejawach sztuki, a więc i w architekturze, ma dokładnie zdefiniowaną treść, której konkretność łatwiejsza jest do określenia i przetransponowania na elementy sztuki, niż jej strona ideologiczna, która wymaga długotrwałego i żmudnego wypracowania własnej formy narodowej. Jasną jest rzeczą, że żadna sztuka narodowa nie może powstać z niczego — musi być świadomą kontynuacją osiągnięć przeszłości, unikając jednocześnie mechanicznego powtarzania historycznych motywów — eklektyzmu i bezkrytycznie sentymentalnego stosunku do form zabytkowych. Dążenie do zdobycia własnych, narodowych form wyrazu w zastosowaniu przede wszystkim do kolosalnych zadań odbudowywanej i przebudowywanej stolicy jest programem naszego pokolenia architektów.

Pierwszym etapem na tej drodze jest Trasa WZ. Przyczyn tego należy szukać przede wszystkim w tym, że jest to pierwsza na wielką skalę realizowana inwestycja miastotwórcza, że powstanie jej było możliwe tylko w warunkach istniejącego ustroju i stosunków społecznych, że konieczność jej znalazła powszechne zrozumienie i poparcie, o czym najlepiej świadczą ogromne tłumy warszawiaków dzień w dzień odwiedzających plac budowy, interesujących się jej postępami i wnikających we wszystkie szczegóły projektu i wykonania.

Należy dodać, że jednym z naczelnych postulatów sztuki socjalistycznego realizmu jest jej dydaktyczność. Wypływa stąd nieubłagana konsekwencja zrozumiałości sztuki dla odbiorcy. W wypadku interesującego nas zespołu urbanistycznego sprawa przedstawia się z tego punktu widzenia pozytywnie. Funkcjonalne założenia Trasy komunikacyjnej po niedługim zresztą okresie okazały się jasne dla każdego — a architektoniczne jej ukształtowanie operujące wielką ilością istniejących wartościowych elementów (wystarczy wspomnieć takiego „samograja", jak kościół Bernardynów czy zespół domów na Krakowskim Przedmieściu) jest tak bliskie każdemu mieszkańcowi naszego miasta, że nie wymaga normalnego dla wszystkich nowych tworów jakiejkolwiek sztuki okresu przyzwyczajania się uczuciowego. Wspaniałe zespoły zabytkowe, podbudowane i uzupełnione dyskretną architekturą nowoczesnego osiedla na Marienstacie — uzyskały nowy wyraz — są starymi motywami, użytymi w innym kontekście. Nowoczesność arterii komunikacyjnej nie tylko nie przytłoczyła wartościowych efektów wielostylowego zespołu kościoła Bernardynów, lecz przeciwnie, przez technicznie nieuniknione obniżenie poziomu jezdni odsłoniła zatraconą dotychczas wysokość wzgórza kościelnego, a duża skala jednolitej ściany nad wlotem do tunelu podkreśla bogactwo i subtelność stylowego detalu domków na Krakowskim Przedmieściu (n. b. dawniej mówiło się: Przedmieście Krakowskie). Na marginesie wspomnę, że po raz pierwszy Warszawa otrzymuje całkowicie wykończony i jednolicie pomyślany plac — Rynek Mariensztacki, wyposażony we wszystkie składniki urbanistycznego wnętrza, opracowaną podłogę i ściany, detale plastyczne: fontannę, zegar mozajkowy, sgrafitto, rzeźby, świadomie skomponowaną zieleń i możliwie pełne wykorzystanie efektów świetlnych. Cechą całej kompozycji Trasy jest wykorzystanie pełnej palety środków architektonicznych przede wszystkim operowanie w dużym zakresie zielenią i światłem.

Mimo szybkiego tempa realizacji i oczywistych przy każdym przedsięwzięciu technicznym ograniczeniach kosztorysowych — wykonanie ogromnej budowy cechuje dbałość o szlachetność użytego materiału (miedziane pokrycia dachów, po raz pierwszy w takim zakresie zastosowana kamieniarka itd.) i o wysoką klasę rzemiosła (kto chce sprawdzić, niech obejrzy glorietę dzwonnicy Bernardynów, sztukatorkę i fragmenty dekoracyjne domu Johna, podcienia na Rynku Mariensztackim i wiele innych).

Masyw kościoła Bernardynów

Tych kilka uwag nie wyczerpuje oczywiście pasjonującego nas wszystkich zagadnienia.

(Dokończenie na stronie ósmej)

Głos mają budowniczowie Trasy WZ - Głos mają budowniczowie Trasy WZ

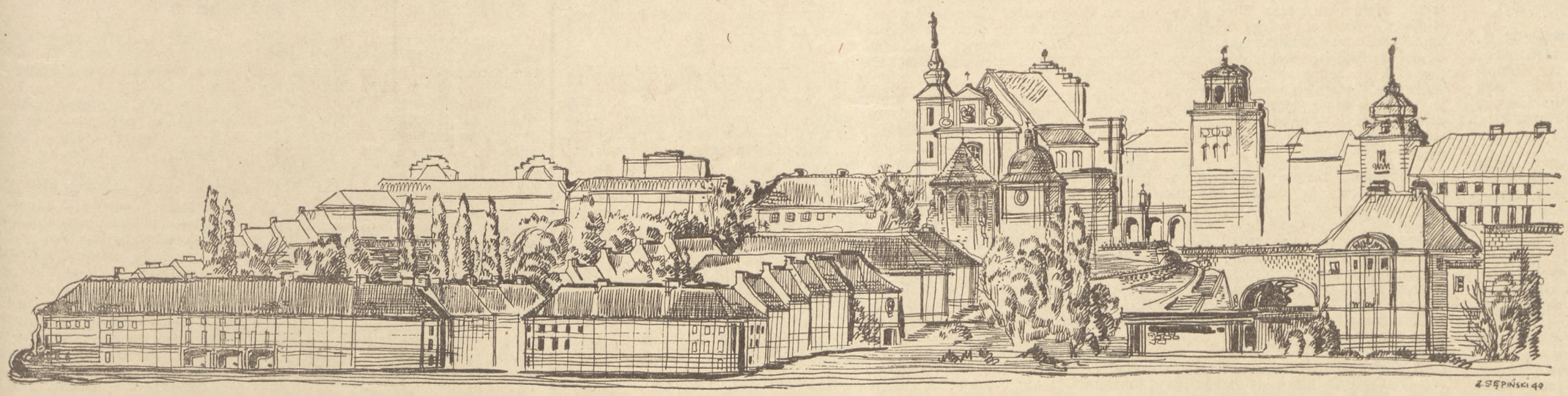

ZYGMUNT STĘPIŃSKI

Rysunki autora

SPRAWA PUŚCIZNY KULTURALNEJ I HISTORYCZNEJ

przy projektowaniu i budowie Trasy W Z

Plany miast, których historia sięga czasów średniowiecznych są zazwyczaj niezmiernie czytelne; odzwierciedlają ich rozwój uwidaczniający się w siatce ulic, w murach obronnych, w wielkich założeniach urbanistycznych.

Warszawa należy do tych właśnie miast, których historia zaczyna się w średniowieczu i których plan jest niezwykle przejrzysty. Warszawa średniowieczna, oparta o wysoki brzeg Wisły od północy, zachodu i południa otoczona obronnymi murami, rozrastała się w kierunku południowym i zachodnim. Z chwilą przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy w XVI w., powstają wokół średniowiecznych murów całe zespoły monumentalnych budynków, rezydencji — dworów i pałaców — ciągnących się przede wszystkim wzdłuż traktu Krakowskiego. Przychodzą później nowe linie obronne — obwałowania XVII wieku. Wreszcie lata najpiękniejszych założeń urbanistycznych: Osi Saskiej, Osi Stanisławowskiej i monumentalnych założeń ogrodowych w Łazienkach. W czasie pierwszych lat utraconej niepodległości Warszawie przybywają piękne zespoły w duchu klasycyzmu. Księstwo Kongresowe realizuje budowę wielu ulic o doskonałych formach — Nowy Świat, Bielańska, Długa, — oraz wielkich założeń corazziańskich, które do dziś jeszcze, aczkolwiek bardzo zniszczone, są niewątpliwie chlubą architektury warszawskiej.

Stopniowe rozrastanie się miasta jest doskonale uwidocznione na jego planach. Poszczególne etapy rozwoju rozdzielane są od siebie pasami zieleni, która zawsze odgrywała ważną rolę w ukształtowaniach przestrzennych Warszawy.

Lata — koniec wieku XIX i początek XX — dają silny rozwój miasta przede wszystkim w kierunku południa i zachodu; jednocześnie spekulacja gruntami i niebywałe śrubowanie ich cen pociąga za sobą zabudowę gruntów śródmiejskich w sposób obliczony jedynie na wyciągnięcie z budowy jak największych zysków, a pomijający względy zdrowia i estetyki. W wielu wypadkach powoduje to zupełne niemal zniekształcenie dotychczasowego pięknego wyglądu miasta. Okres międzywojenny niewiele niestety, wpłynął na zmianę charakteru zabudowy śródmieścia — nie istniała zresztą w ówczesnych warunkach możność realizacji koncepcji urbanistycznych na wielką skalę, chociażby z uwagi na koszta związane z wykupywaniem potrzebnych terenów. Straszliwa tragedia wojenna, która rozegrała się w Stolicy, spowodowała, że w gruzach legły wszystkie niemal dzielnice — śródmieście, tak bogate niegdyś w budynki o dużej wartości kulturalnej, ucierpiało najwięcej.

Nowy plan Warszawy, stwarzając całkowicie nową koncepcję urbanistyczną, przyjął jednak za podstawę dotychczasowy główny układ komunikacyjny. Stąd szybka decyzja, a co za tym idzie, odbudowa na starych śladach mostu Poniatowskiego i uruchomienie wielkiego tranzytu ze wschodu na zachód przez Aleje Jerozolimskie. Stąd dalsza decyzja o ulicy Marszałkowskiej, jako podstawowej arterii komunikacyjnej o kierunku północ-południe i wreszcie paląca konieczność stworzenia drugiej wielkiej arterii komunikacyjnej ze wschodu na zachód arterii, która by mogła najkrótszą drogą połączyć śródmieście Pragi i jej północne dzielnice z śródmieściem Warszawy i jej nowo wznoszonymi dzielnicami mieszkaniowymi na Nowym i Starym Mieście, Muranowie, Mirowie i Młynowie. Trzeba było skorzystać z istniejącej ulicy Zygmuntowskiej i na śladach dawnego mostu Kierbedzia przejść na drugi brzeg Wisły, aby potem najkrótszą drogą dostać się na Wolę. Nowa ta arteria trafiać miała bezpośrednio w dzielnice, w których znajdowały się ruiny wielu zespołów zabytkowych, które aczkolwiek bardzo zniszczone stanowiły jednak dokumenty kultury budownictwa Stolicy.

Projekt realizacji tej arterii tkwił już dawno w umysłach warszawskich urbanistów. Istniały dwie możliwości: przejście w poziomie przyczółka warszawskiego obok zespołu Zamku Królewskiego tunelem pod Krakowskim Przedmieściem, Miodową i wydostanie się wykopem na górny poziom — lub też wyprowadzenie wysokim nasypem lub wiaduktem arterii na górny taras Krakowskiego Przedmieścia i przebicie się przez ruiny do ulic Leszno i Wolskiej. Trzeciej ewentualności, tj. odbudowy wiaduktu Pancera i włączenia się starym śladem w kręte i ciasne uliczki śródmieścia, nie brano właściwie pod uwagę. Nie było nikogo, kto ośmieliłby się zaproponować budowę nowoczesnego szlaku komunikacyjnego, który nie miałby na całej siedmiokilometrowej długości konsekwentnie przeprowadzonej myśli urbanistycznej. Zwyciężyła koncepcja pierwsza — tunelu, aczkolwiek najcięższa i najkosztowniejsza w realizacji. Koncepcja druga musiałaby bowiem spowodować całkowite wyburzenie wielu budynków zabytkowych, stojących bezpośrednio na trasie lub w bliskim jej sąsiedztwie.

Sprawa zabytków warszawskich, jako puścizny kulturalnej całego narodu, tylokrotnie omawiana i dyskutowana, ma zupełnie specyficzne zabarwienie przez polityczny charakter, którego nabrała na skutek niesłychanej zaciekłości i konsekwencji, z jaką Niemcy niszczyli wszelkie dokumenty kultury polskiej. W tej sytuacji znaczenie zabytków i roztoczona nad nimi opieka urosły do miana i synonimu odbudowy kultury narodowej.

„Czy można więc było dopuścić, aby realizacja pierwszego wielkiego założenia urbanistycznego nowej Warszawy miała uniemożliwić Warszawie odbudowę budynków o wielkim znaczeniu historycznym i kulturalnym? Projektodawcy odrzucili tę ewentualność, a nawet przeciwnie — postanowili przeprowadzić Trasę WZ w ten sposób, aby zespoły zabytkowych budynków jako puścizna kulturalna minionych wieków stały się ozdobą najnowocześniejszej arterii odbudowującej się stolicy. Projektodawcy postanowili również, że odbudowa tych zespołów musi nastąpić równolegle z budową Trasy, że trzeba je odbudować w całej ich dawnej świetności a jednocześnie tchnąć w nie nowe życie, znaleźć dla nich w tym życiu nową właściwą rolę i celowe przeznaczenie.

Jakże jednak to pełne zrozumienia i szacunku dla wartości zabytków zamierzenie trudne było do przeprowadzenia w życiu. Teren, przez który przebiega Trasa WZ na odcinku warszawskim od przyczułka mostu, jest terenem, na którym wieki nagromadziły szereg cennych pomników budownictwa, jak Zamek Królewski, pałac Pod Blachą, pałace i kamienice na Krakowskim Przedmieściu, Miodowej, Bielańskiej, Lesznie, Tłumackiem, placu Bankowym i kamieniczki na Marienszatacie. Bilans stanu zabytków znajdujących się w najbliższym promieniu Trasy sporządzony przed rozpoczęciem projektu wypadł fatalnie — uległy one nie tylko spaleniu, lecz w wielu wypadkach nawet zburzeniu. Pozostały jedynie kikuty sterczących, poszarpanych murów z fragmentami elewacji. Z wnętrz nie pozostało nic. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności — zapewne przez zapomnienie — pozostały niewysadzone w powietrze przez hitlerowców mury pałacu Pod Blachą, zespół kościoła św. Anny wraz ze spaloną dzwonnicą oraz kilka drobniejszych fragmentów zabytkowych kamienic. Kościół św. Anny i pałac Pod Blachą były zawsze doskonałymi akcentami architektonicznymi, odgrywającymi dominującą rolę w sylwecie Warszawy. Dwa lata temu, gdy przystępowano do pierwszych szkiców koncepcyjnych Trasy WZ nie było jeszcze mowy o możliwościach odbudowy Zamku, jednakże od pierwszej chwili projektodawcy traktowali Zamek, jako obiekt, który będzie odbudowany.

Dalszym niezmiernie cennym zespołem architektury zabytkowej, odgrywającej ważną rolę w ukształtowaniu plastycznym Trasy WZ są pałacyki i kamienice zabytkowe na Krakowskim Przedmieściu, Miodowej i Senatorskiej, stanowiące monumentalny blok architektoniczny, przedstawiający wyjątkowo szczęśliwie skomponowaną bryłę. Wśród nich najpiękniejsze: kamienica Johna, Leszczyńskiego - Prażmowskich, Roesslerów oraz pałac Małachowskich (Senatorska 11). Stan zniszczenia po działaniach wojennych bardzo ciężki. Ocalał częściowo front elewacji najpiękniejszej kamienicy Prażmowskich i elewacja od dziedzińca pałacyku Małachowskich. Przy ulicy Miodowej mocno zniszczony pałac Teppera, dalej przy Bielańskiej całkowicie spalony i częściowo zburzony pałac Przebendowskich - Radziwiłłów, zamienione w zupełną ruinę zabytkowe kamienice na Tłumackiem i ocalała rotundka studni zabytkowej, wzniesionej przez Zuga, zwanej popularnie „Grubą Kaśką". W niedalekim sąsiedztwie całkowicie spalone: zespół założenia Corazziego na placu Bankowym, domy na Lesznie oraz w głębi przy dawnej ulicy Przejazd — Arsenał i pałac Mostowskich, częściowo nawet zburzone. Tak mniej więcej w ogólnych zarysach przedstawiał się stan techniczny budynków zabytkowych, znajdujących się bezpośrednio na linii przebiegu Trasy WZ lub też w niedalekim jej sąsiedztwie — stan po prostu rozpaczliwy.

Pierwsze szkice urbanistyczne wykazały, że Trasa musi przebiec obok pałacu Pod Blachą, u stóp ruin Zamku Królewskiego, dalej w bezpośrednim sąsiedztwie Kościoła i dzwonnicy św. Anny, potem pod zespołem „dziesięciu zabytkowych kamienic" na Krakowskim Przedmieściu, które później w czasie realizacji nazwano po prostu „kamienicami na płycie", poprzez ruiny pałacu Teppera i pałacu Radziwiłłów „Grubą Kaśkę" — by dostać się do ulicy Leszno. W dalszych studiach nad projektem powzięto decyzję natychmiastowej odbudowy pałacu Pod Blachą, w którym znalazła pomieszczenie pracownia projektodawcza Trasy WZ, natychmiastowej odbudowy dzwonnicy kościoła św. Anny oraz natychmiastowego zabezpieczenia najciekawszych fragmentów prześlicznej rokokowej kamienicy Prażmowskich, a to celem zachowania ich autentyczności. Prace te wykonano z dużym nakładem pieniędzy i czasu, który w trakcie całej budowy Trasy był tak ważnym i cennym elementem. Zabezpieczono również elewację pałacyku Małachowskich od strony dziedzińca. Ruiny sześciu kamieniczek postanowiono rozebrać, ponieważ koszty zabezpieczenia ich oraz budowy tunelu systemem wykopowym pod ich fundamentami obciążyłyby kosztorys całej budowy zbyt wysokimi cyframi w czasie i budżecie.

Bardzo skomplikowany problem stwarzało położenie pałacyku Przebendowskich-Radziwiłłów przy ul. Bielańskiej. Początkowo wydawało się, że nie uda się uniknąć rozebrania tego pałacu, przez którego środek przechodziła na planach jezdnia Trasy. Długie i zażarte były dyskusje na ten temat. Kierujący się pierwszym odruchem urbanista wydałby niewątpliwie polecenie natychmiastowej rozbiórki ruin, by na ich miejscu przeprowadzić dwupasmową pełną jezdnię nowobudowanej arterii śródmiejskiej. Mimo rozbieżności zdań — nawet w łonie samej pracowni — zwyciężyła jednak myśl odbudowy pałacyku w jego dawnej zabytkowej formie i pozostawienia go na wysepce wśród dwóch jezdni. Dziś pałacyk odbudowany, obsadzony zielenią, wśród której widnieją dwa uratowane z pożogi platany, stanowi wraz z „Grubą Kaśką" prawdziwą ozdobę tej części Trasy ukrytą dotychczas w głębi podwórka, elewację pałacyku Małachowskich.

W dziełach rekonstrukcji zabytków w Warszawie spotykamy się przy realizacji Trasy WZ z wypadkiem bez precedensu: z odbudową i doprowadzeniem do pełnej świetności jednocześnie całego zespołu składającego się z dziesięciu kamienic o wysokiej klasie architektury zabytkowej. Zespół ten oglądany na poziomie trasy głównej z wiaduktu nad Mariensztatem, stanowi monumentalne panoramiczne zamknięcie wlotu do tunelu.

Zrekonstruowany został również w całej swej okazałości pałac Pod Blachą. Nowe ukształtowanie terenu będące wynikiem przepuszczenia Trasy tunelem, wywiezienie mas ziemi zasłaniających dotychczas bryłę Pałacu, wydobyło go z głębokiego dołu, w którym tkwił od chwili wzniesienia wiaduktu Pancera i pozwala obecnie oglądać go w doskonałych warunkach.

Najpiękniejszym niewątpliwie akcentem architektonicznym Trasy WZ w jej obecnym stanie — tj. do chwili odbudowy Zamku — jest monumentalna bryła zespołu kościoła św. Anny, będąca niejako geologicznym przekrojem wszystkich stylów budownictwa warszawskiego od nadwiślańskiego gotyku z jego doskonale spatynowaną czerwoną cegłą, poprzez barok, aż do klasycyzmu Aignera z jego szlachetną w liniach dzwonnicą — „campanillą".

Przeprowadzenie Trasy WZ u podnóża kościoła w poziomie około 12 metrów niższym niż jezdnia dawnego Nowego Zjazdu dało wspaniałe podbudowanie całej bryły skarpami, podkreślając tym silniej jej monumentalność. Dzwonnica została całkowicie odczyszczona z wątpliwej wartości, niewątpliwie bardzo szpetnych przybudówek i dziś — włączona do całości kompozycji placu Zamkowego — stanowi jeden z piękniejszych jego fragmentów.

Kościół, który szczęśliwie wyszedł jako tako obronną ręką z działań wojennych, został starannie zabezpieczony, nakryty dachem z blachy miedzianej; zburzona przez Niemców w roku 1939 kaplica Loretańska została odbudowana w stanie surowym, odbudowano gloriettę na dzwonnicy, całą zaś dzwonnicę pieczołowicie zrekonstruowano. Nową formę architektoniczną otrzymał placyk między kościołem a dzwonnicą. Uroczy ten zakątek, skąd roztacza się wspaniały widok na osiedle Mariensztackie, most i Trasę na Pradze, a w przyszłości i na Zamek, był dotychczas martwym terenem niedostępnym dla mieszkańców Warszawy. Obecnie — otwarty dla ruchu pieszego — otrzymał życiodajny zastrzyk i w nowym układzie pełnić będzie swą funkcję miejsca wypoczynku i punktu widokowego dla zwiedzających Trasę. Stojąca na dziedzińcu dorycka kolumna z figurką świątka (z r. 1643) została również zrekon-

(Dokończenie na stronie ósmej)

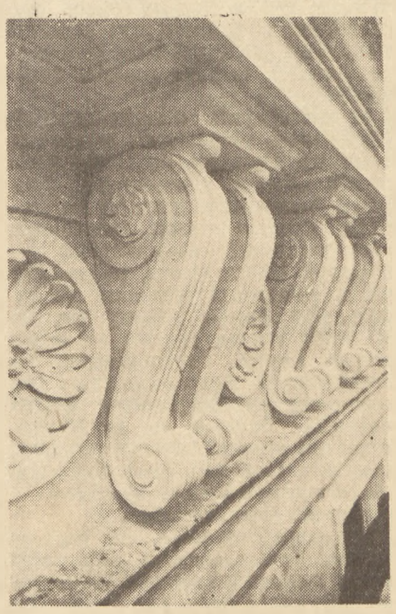

Fragment zrekonstruowanego gzymsu z kamienicy Roesslerów

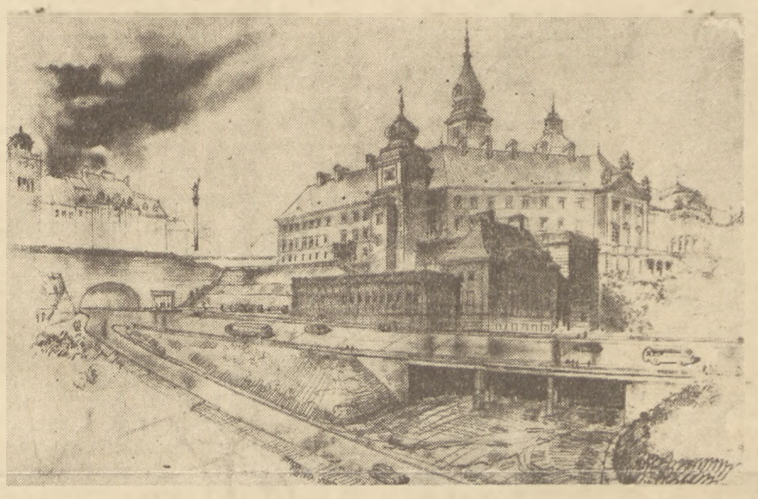

Zamek Królewski i Trasa WZ

LEOPOLD LEWIN

MANIFEST WARSZAWSKI

Nim pierwszy cios kilofa Apryasowy
Otworzył erę sześcioletniej próby,
Twardniały robotnikom rąk przeguby,
Pod ich palcami piętrzyły się domy,
Pod ich palcami prężyły się przęsła;
Gdy ruinami eksplozja zatrzęsła,
W kamieniołomach budziły się gromy.

Już Zygmunt Trzeci na dumnym pomniku
Patrzy na Trasę, i Warszawa dumna —
Z twojego trudu, polski robotniku,
Z twojej wierności wyrosła kolumna,
Na której siądą wędrowne żórawie,
Jest taka znowu kolumna w Warszawie,
Za którą tęsknił wśród obcych Słowacki —
Dziś z niej na przestrzał jest widok otwarty
Na wschód i zachód, na plac Mariensztacki,
Na Wisłę i na rok czterdziesty czwarty.

Przyszli niezłomni, zwalili ruiny,
Spięli wschód — zachód betonem i stalą.
I już księżyce na dachach się palą
I już oknami zakwitają mury —
Warszawski murarz — bóg architektury,
Który ma w oczach jutrzejszą Warszawę,
Wzniósł nad tunelem Dom Literatury.

Krzepną litery Manifestu w cegły,
Trysnęły z ziemi soczyste zieleńce.
W tę zieleń, w burzę radosnych okrzyków
Zaraz wypadnie z mariensztackiej szkoły
Zastęp urwisów zwinny i wesoły —
To one właśnie, dzieci robotników
Poniosą kiedyś pieśń i trud stolicy,
Jutra poeci, jutra przodownicy.

„Mickiewicz" Mieczysława Jastruna

(Dokończenie ze strony drugiej)

przyszłej Polsce haseł Wielkiej Rewolucji: równości obywateli wobec prawa, wolności wyznań, wolności słowa, obieralności urzędów, równouprawnienia mniejszości narodowych żydowskiej i słowiańskich, a nawet równouprawnienia kobiety.

A więc chrześcijaństwo, formy organizacji wiejskiej zbliżone do starosłowiańskiej wspólnoty, braterstwo Słowian. Jak wyobrażał sobie Mickiewicz wcielenie wspólnoty do współczesnego organizmu państwowego? Zdaje się, sądząc z wypowiedzi pochodzących z **różnych** czasów (a zatem być może nie układających się w umyśle poety w jeden system), mogło to wyglądać tak. Na samym dole wspólnoty wiejskie (rozporządzające własnością gminną, istniejącą obok własności indywidualnej. I tu znowu Mickiewicz okazuje się wyrazicielem chłopsko-drobnomieszczańskiej ideologii). Ponad tą komórką dołową nadbudowa dawnych instytucji stanowych Rzeczypospolitej. „Z ducha religii i tych instytucji wypływa konieczność nadania **stopniowo** (podkreślenie moje) wolności równej całemu narodowi" — pisze Mickiewicz w swym memoriale „o projekcie dziennika polskiego" z roku 1833.

W jaki sposób równość ta osiągnięta zostanie, tłumaczy dalej: „...klasy wyższe, to jest bogate i oświecone, wielkie poświęcenie zrobić powinny i tym tylko się ocalą od nienawiści, która przeciw tym klasom obudza się w całej Europie. Ugruntowane uczucia religijne mogą tylko jednych skłonić do ofiar dobrowolnych, drugich wstrzymać od gwałtownego przywłaszczenia cudzej własności".

Nawiasem zauważmy, że chrześcijaństwo, które tu Mickiewicz przywołuje na podporę Rzeczypospolitej, było chrześcijaństwem ewangelicznym, chłopskim, i nie tylko nie miało nic wspólnego z oficjalnym kościołem, lecz było mu wręcz przeciwstawne.

O tym jaki był stosunek Mickiewicza do kościoła urzędowego, niechaj świadczy następujący wyjątek z jego artykułu „Rzym a katolicyzm urzędowy" („Trybuna Ludów" 16 marca 1849 rok). „Stronnictwo, które we Francij urzędowo przybiera nazwę katolickiego, nie przestaje przez swoje organy, w Izbie i w prasie, głosić wojny krzyżowej przeciwko stolicy katolicyzmu: zdaniem poważnych członków tego stronnictwa Rzym nie może religijnie istnieć bez papieża, papież zaś straciłby byt duchowny, gdyby mu odebrano jego listę cywilną, jego żandarmów i jego pułki szwajcarskie. Otóż bezbożność rzymian pozbawiła go świeżo tych wszystkich środków wykonywania swej władzy duchownej! Rzym staje się groźny Kościołowi katolickiemu.

...My, katolicy nieurzędowi, sądzimy, że jedynym grzechem naszych braci rzymskich, tym, który najbardziej zgorszył papieża, święte kolegium, posiadaczy wielkich beneficów, Univers religieux i jego zwolenników, jest republikanizm. Grzech niedopuszczalny! Wybaczonoby zapewne rzymianom zapomnienie obowiązków religijnych; pozwolonoby im swobodnie łamać dyscyplinę kościelną; znoszonoby, a niekiedy nawet popieranoby ich obojętność w rzeczach religii; pozwolonoby im dziś z wyżyny Kapitolu głosić ateizm, byleby w Kwirynale nie wymówiono wyrazu Rzeczpospolita, byleby w papieżu uszanowano jego charakter monarchy",

A więc romantyczny, wyrażający tęsknoty szlacheckie ale i chłopskie, nawrót do przeszłości, do prostoty chłopów-apostołów, do prasłowiańskiego, chłopskiego gospodarzenia na własnej i na wspólnej roli, nawrót do przeszłości wyidealizowanej, wystylizowanej, w kraj błogosławionego spokoju, zbożnej pracy, braterstwa wewnątrzstanowego i międzystanowego, w kraj chrześcijańskiego ładu i miłości bliźniego.

Że Polskę stanową uważał jednak Mickiewicz za formę przejściową, która dzięki duchowi ewangelicznemu roztopi wszystkie swe przeciwieństwa w miłości bliźniego, o tym świadczy także obok przytoczonych i szereg innych wypowiedzi poety, spomiędzy których oto jedna bardzo charakterystyczna. Grupie odwiedzających wieszcza gdzieś około 1853 r. studentów z Polski, którzy „prosili o wytknięcie im drogi w pracy nad przyszłą ojczyzną", odpowiedział:

„Przyszłość?... W ludzie, panowie! Praca nad ludem — to pierwsze. Zburzyć mur chiński, który nas dzieli na stany. Lud, to przyszłość, to zadanie młodzieży". (Jastrun)

Tym słowom romantyka i mistyka odpowie już wkrótce echo haseł pracy od podstaw

Gdy Mickiewicz opuszczał Wilno, Polska stawiała dopiero pierwsze kroki na drodze, która zdawała się urywać w przepaść. Toteż cała miłość jego, cały patriotyzm wołał, by nie toczyć się ku zgubie, by ocalić raczej obumarłe formy — z perspektywy czasu i odległości i w porównaniu z francuskimi wydające się swojskimi, łagodnymi, obiecujące ciszę, sprawiedliwość i pokój. Spodziewał się, że do tych form archaicznych (z których **archaizmu** w pełni zdawał sobie jednak sprawę) stopniowo będzie się wlewała współczesna treść stworzona przez Wielką Rewolucję. Na tym polega tragiczna dwoistość, owa wewnętrzna sprzeczność mickiewiczowskiego światopoglądu: z jednej strony nie może zerwać ostatnich więzi łączących go z warstwą, z której wyszedł, z drugiej strony — tkwi już w nurcie współczesnej postępowej myśli europejskiej.

Jakby odniósł się do walk i prac naszego pokolenia, w czasach gdy instytucje gospodarcze sprecyzowały się, ustaliły, w czasach, gdy podział społeczeństwa na dwa wrogie obozy stał się tak głęboki, że żadne mosty, żadne tunele nie mogą już połączyć wyzyskiwaczy z wyzyskiwanymi, w czasach, gdy klasy pasożytnicze w swej nienawiści do pracujących gotowe są wysadzić glob ziemski w powietrze — o naukach, których by nam dziś udzielił Mickiewicz, mówi nie tyle jego stosunek do Polski, co do kapitalistycznej i proletariackiej Francji, noszącej już w sobie widome pędy przyszłości.

Po długiej tułaczce przez Europę objętą gorączką przewrotów ekonomicznych i socjalnych Mickiewicz osiadł wreszcie w Paryżu. Paryż ówczesny, Paryż Ludwika Filipa z rozmachem, z aroganckim bezwstydem zwycięskich parweniuszów eksploatował gromy i nawałnice Wielkiej Rewolucji. Na zmianę hasłom „równości, wolności i braterstwa" przyszło nowe: „zbogacajcie się". Było to panowanie kapitału finansowego, lichwiarskiego, spekulacyjnego — najjaskrawiej obnażającego przeciwieństwa klasowe, wyzysk mas pracujących i pasożytniczy charakter burżuazji.

Lecz nie tylko wrzaskiem giełdy i wybuchami skandali finansowych i politycznych wrzał ówczesny Paryż. Tu bił nieustannie ze wzrastającą mocą puls protestu, puls rewolucji. Krzywda niczym nie zamaskowana, nędza moralna i fizyczna tak wielka, że zdawała się przerastać rodzimą, litewską, powszechne rozprzężenie, zbrodnie, nienawiść, krew, które niósł kapitalizm, leżały na powierzchni, na brukach ulic paryskich i kłuły oczy poety.

Tu na tym bruku paryskim, którego kamienie raz po raz urastały w barykady, nad którym od dni rewolucji lipcowej 1830 r. prawie nie przestawał powiewać czerwony sztandar robotniczego buntu, Mickiewicz pojął, że świat kapitalistyczny został przedzielony przepaścią, której brzegów żaden most, żaden tunel nie sklei: z jednej strony świat „tyranów", króli i carów, i świat „orleańczyków", do którego zaliczał całą burżuazję z jej bankierami, fabrykantami, spekulantami giełdowymi i jej reakcyjnymi politykami wszelkich odcieni; z drugiej strony — świat ludów uciskanych i ludzi wyzyskiwanych: robotników, chłopów i drobnomieszczaństwa.

Zrozumienie naturalnych związków, które połączyły po rewolucji lipcowej monarchów i feodałów z kapitalistami, zrozumienie, że sprawa wyzwolenia narodowego łączy się ściśle z walką przeciw krzywdzie ekonomicznej — oto Mickiewicz-demokrata, Mickiewicz — wielki polityk współczesny.

Między dwoma wrogimi światami starcie jest nieodzowne i usprawiedliwione i starcie to musi przybrać postać krwawej, bezlitosnej i aż do ostatecznych konsekwencji posuniętej rewolucji. Mickiewicz szydzi dotkliwie z socjalisty-utopisty Considéranta, gdy ten, już po nauce walk czerwcowych, próbuje z trybuny parlamentarnej nawracać skorumpowanych politykierów reakcji i głosić im zbawczą religię falansterów. Nawracanie kutych adwokatów, sprzedajnych dziennikarzy, lichwiarzy i graczy giełdowych uważa Mickiewicz za sprawę z góry przegraną. Do tych ludzi przemówić może jedynie paragraf prawa lub zbrojne powstanie. Z bólem wyrzuca rewolucjonistom rzymskim, którzy chwycili za broń przeciw swemu władcy świeckiemu, papieżowi, że stanęli w pół drogi, że zlękli się odpowiedzialności, że nie skonfiskowali olbrzymich skarbów Kwirynału, które by pozwoliły im walczyć i zwyciężyć. Albowiem jedynym obowiązkiem i jedynym prawem rewolucjonistów jest zwycięstwo.

Zwycięstwo w imię czego?

Mickiewicz widzi trzy stopnie rewolucji: rewolucja wyzwoleńcza (tzn. niepodległościowa), narodowa (tzn. wewnętrzna-burżuazyjna) i rewolucja socjalna.

Aby być zwycięską, rewolucja ludowa, robotnicza i chłopska musi być **poprzedzona** przez rozbicie okowów **wszystkich** ludów podbitych Europy i obalenie **wszystkich** tronów.

Doświadczenie historyczne pozwala nam dziś rozróżnić, co w tych poglądach poety było słuszne, a co wypływało z nieuniknionego nawet dla geniuszu zaciemnienia widnokręgu przez względy klasowe i polityczne oraz te, które wynikają z idealistycznego, antyrealistycznego poglądu na świat.

Mickiewicz zajmował pozycje najpostępowszej części lewicy rewolucyjnej, gdy głosił, że tylko lud francuski zainteresowany jest w walce z systemem Świętego Przymierza. Że istnienie caratu, który w osobie Mikołaja Pałkina wystąpił jako orędownik i aktywny obrońca całej reakcji europejskiej, zagraża zdobyczom wszelkiej rewolucji socjalnej. I że dlatego ouvrier francuski i wszelki w ogóle robotnik wstępując na drogę walki klasowej jest zainteresowany w wyzwoleniu Polski, Węgier, Włoch, wyzwoleniu tych krajów, których niewola wzmacnia „tyranię".

Mickiewicz traktuje całą Europę jako jeden, nierozerwalny organizm. Nie wierzy w zwycięstwo rewolucji „socjalnej" we Francji bez uprzedniego zwycięstwa rewolucji antymonarchicznej, tzn. burżuazyjnej w całej Europie. Stąd szukanie sił poza klasą robotniczą — gdyż Mickiewicz tymbardziej zdaje sobie sprawę z niedojrzałości przewrotu proletariackiego w krajach, na przykład słowiańskich, gdzie zresztą, jak wierzy, krwawy ten przewrót nie jest koniecznością dziejową i będzie go można uniknąć. Stąd żarliwy kult Napoleona i dynastii napoleońskiej. Napoleona pojmuje poeta jako geniusza, który w **imię haseł Wielkiej Rewolucji**, rękami **ludu** francuskiego obalał trony, niósł wyzwolenie narodom podbitym, jednoczył Europę. Napoleon sprzeniewierzył się swej misji, gdy włożył koronę i jako cesarz musiał stępić swą broń w walce z monarchiami i feodalizmem. Dzieło jego podejmą jednak następcy, członkowie tego samego rodu, którzy urzeczywistnią „powszechną federację Europy".

„Dynastia Bonaparte reprezentuje nie rewolucyjnego, lecz konserwatywnego chłopa: nie chłopa wyrywającego się z ram swych warunkow społecznych, z ram parceli, lecz chłopa pragnącego umocnić swą parcelę; nie ludność wiejską, dążącą do tego, by własnymi siłami wraz z miastami obalić stary porządek, lecz ludność wiejską która na odwrót, tępo zamyka się w starym porządku i oczekuje zbawienia i korzyści dla siebie i swej parceli od widma cesarstwa. Dynastia Bonaparte reprezentuje nie oświatę chłopa, lecz zabobony chłopa, nie jego rozsądek, lecz jego przesądy, nie jego przyszłość, lecz jego przeszłość..." (Marks).

(Nie należy jednak zapominać, że bonapartyzm Polaków, poza swą stroną wsteczną miał także — postępową, wyrastał bowiem z dążeń niepodległościowych. Należy również pamiętac, że Mickiewicz, konsekwentny jak zwykle do ostatnich granic swych myśli, należał do tych nielicznych urzędników francuskich którzy odmówili Ludwikowi Napoleonowi **cesarzowi** przysięgi na wierność. Dowód, że nie był bonapartystą we wstecznym tego słowa znaczeniu, choć tak samo, jak większość ówczesnego chłopstwa i drobnomieszczaństwa francuskiego dał się uwieść demagogii bonapartyzmu.

Wobec wypaczenia pojęć politycznych masy szlacheckiej przez niewolę, praca wychowawcza Mickiewicza była pracą postępową, pokonywującą opory nie tylko Czartoryskich i Zamoyskich, ale i tych, którym służyć miała: polskich warstw średnich. Faktem jest, że Wieszcz był w Paryżu równie osamotniony i pozbawiony poparcia moralnego jak drugi nasz demokrata, Lelewel, w swej pustelni brukselskiej.

W koncepcjach demokratycznych Mickiewicza układało się odsuwanie rewolucji socjalnej, do chwili spełnienia „dwóch pierwszych". Najpierw wyzwolenie narodów uciskanych, obalenie tyranii, umocnienie sprawiedliwości abstrakcyjnej — równości wobec prawa, potem, gdy nic z zewnątrz przeszkadzać nie będzie, gdy Europa połączy się już w jedną wielką rodzinę — załatwienie swoich, wewnętrznych — drobniejszych stosunkowo (taka jest segregacja idealisty) spraw gospodarczych. Oznacza to, że Mickiewicz nie wierzył, by reorganizacja władania środkami produkcji zniosła niesprawiedliwość społeczną.

Nie on jeden zresztą .

Przypomnijmy sobie, że podczas słynnej demonstracji 15 maja 1848 roku, poprzedzającej robotnicze powstanie czerwcowe, gdy tysiące robotników paryskich wystąpiło z żądaniem interwencji Francji w „sprawę polską", obrony Polski przez Francję, jeden tylko komunista Blanqui połączył hasła wojny o wyzwolenie narodów, wojny z reakcją międzynarodową z hasłami wyzwolenia proletariuszy z niewoli ekonomicznej.

Poza Blanquim również i niewielką grupą jego towarzyszy oraz poza drobnym klubem babouvistów na którego czele stał Dézami, niewielu zapewne było wówczas we Francji teoretyków, którzy by pojmowali materialistycznie, konieczność przebudowy stosunków produkcji. Wszak nawet robotnicy czerwonego przedmieścia Saint Antoine, przebiegający w dni rewolucji czerwcowej 1848 roku ulice Paryża z okrzykiem „chleba lub ołowiu"! ołowiu lub pracy! żyć z pracy lub umrzeć w walce"!, występując przeciw kampanii sprzedajnej prasy, oskarżającej rewolucjonistów o grabieże i podpalania, oświadczali: „broniąc Republiki, bronimy własności".

Sami robotnicy w owych czasach we Francji nie znali jeszcze programu socjalizmu naukowego.

Geniusz Mickiewicza również oczywiście musiał pozostawać w ramach, wyznaczonych mu przez czas i bieg dziejów.

Precyzja i konkretność politycznej myśli Mickiewicza zaciera się, gdy dochodzi do rozważań o „la sociale", końcowym i nieuniknionym ogniwie cyklu rewolucji, wywołanych przez kapitalizm.

Wierzy jednak że przyszłość musi się opierać na własności prywatnej i na owym apostolskim, ludowym chrystianizmie, który będzie regulował również stosunki Polski wyzwolonej.

*

„Dwie połowy" politycznego światopoglądu Mickiewicza nie są bynajmniej ze sobą sprzeczne: układają się w rozpowszechnione w latach 20 — 40 schematy romantyczne. Jeden z tych schematów podałam jako przykład: było to tak zwane „moskiewskie" słowianofilstwo.

Idealizm, który leżał u podstaw tych koncepcji, wypływał u Mickiewicza z jego łączności z aktywnymi warstwami narodu, z chłopsko-szlacheckiej, burżuazyjnej ideologii tych warstw, z najgłębszego wniknięcia w potrzeby i dążenia elementów społecznych, które już wkrótce obejmą ster życia w Polsce.

Podwójny. kontrastowy stosunek do feodalizmu, wywołujący wrażenie rozpadu koncepcji politycznych Mickiewicza, wypływał z dwuznacznej. skomplikowanej sytuacji drobnej burżuazji polskiej — z jednej strony hamowanej w swym rozwoju przez wrogi, na wpół feodalny ustrój zaborców, z drugiej zaś — dążącej do pochwycenia władzy w kraju nie w drodze rewolucji, lecz w drodze kompromisu społecznego.

Wydaje się więc, powtórzmy to raz jeszcze, że sens społeczny pracy wychowawczej Mickiewicza polegał na uświadomieniu szlachcie jej nowej — w zmienionych warunkach historycznych — chłopskiej, burżuazyjnej istoty, przeszczepieniu na grunt polski nowego, wywalczonego przez Wielką Rewolucję Francuską pojęcia „naród".

W tym dopiero sensie zrozumiałe się staje słynne: „My wszyscy z niego". Tak, cała myśl społeczna, cała literatura musiała i musi przejść przez zdobycze myśli mickiewiczowskiej, by móc się podnieść na wstępny, wyższy, udostępniony przez historię etap.

— — —

Takie oto rozważania — między innymi — można wysnuć z książki Jastruna. I nasuwa je nie tylko wielka ilość przytoczonych przezeń materiałów, nie tylko mądry wybór i układ tych materiałów, sugerujący wpływy, nawarstwienia, związek myśli mickiewiczowskiej z wypadkami międzynarodowymi. Przede wszystkim, jeśli o Mickiewicza chodzi, ważne jest podanie przez Jastruna wiernego obrazu różnych warstw ówczesnego społeczeństwa polskiego, ukazanie tych warstw w rozwoju, w ruchu, w przeplataniu się ich potrzeb i interesów, nakreślenie granic ich świadomości klasowej — w ten bowiem sposób Jastrun oświetla również tę linię graniczną, **której Mickiewicz sam przekroczyć nie mógł.** Tylko przebywanie w tym zaklętym kole pozwalało Mickiewiczowi na utrzymanie łączności z narodem.

Spodziewać się należy, że twórcza książka Jastruna, jedna z najciekawszych książek naszej pookupacyjnej literatury, wywoła szeroką i płodną dyskusję, tych wszystkich, którym sprawa wiecznej aktualności geniuszu mickiewiczowskiego jest droga.

Zofia Dąbkowska

Mieczysław Jastrun. Mickiewicz. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949, str. 410 i 6 nl.

STANISŁAW DZIKOWSKI

WIŚLICA I RZYM

Ksiądz proboszcz z Wiślicy był człowiekiem bardzo pobożnym i bardzo uczonym. Zapewne wskutek łaski, jaką sobie u Pana Boga zasłużył, mógł rozkazywać siłom nieczystym. Znał tajemnice nauk zabobonnych i wszelakiego czarnoksięstwa, miał moc wypędzania złych duchów i posiadał sposoby sprawowania nad nimi władzy. Wiedział jakich używać egzorcyzmów i modlitw, kiedy potrzebna jest przytomność Najświętszego Sakramentu, chrztu, relikwii, wody święconej, modlitwy gorącej, spowiedzi z pilnym przygotowaniem albo też kiedy wzywać imion przenajświętszych, uderzać w dzwony poświęcane i zapalać gromnice. Odznaczał się w tych wszystkich sprawach wielką ostrożnością i bystrym okiem, ale nade wszystko wierzył, że moc szatańska stępiona jest przez Chrystusa Pana, a kto mocno stoi przy Bogu i woli Jego świętej, ten będzie miał zawsze pod nogami diabła i wszystko piekło.

Umiał też proboszcz wiślicki zaklinać głupie twarze, to jest zwierzęta.

Wiadomo, że Wiślica stoi jakby na jakim ostrówku, pośród niezmierzonych błot Nidy. Otóż w tych błotach gnieździła się niezmierna moc różnych gadów, a przede wszystkim żab, które rechotaniem swoim bardzo się naprzykrzały ludziom. Zdarzyło się, że podczas solennej mszy, którą ów ksiądz odprawiał, żabska tak przeraźliwie skrzeczyć poczęły, że ani on siebie ani nikt jego nie słyszał. Uniesiony więc żarliwością chwały Boskiej, zaklął żaby i ropuchy i odtąd głosu ich nigdy już nie słyszano w Wiślicy.

Pewnego razu tenże sam ksiądz zwyczajem swoim przechadzał się wieczorem po nadworzu plebanii, odmawiając wieczorne pacierze. Wtem na dzwonnicy kościelnej usiadło kilka kruków, które zaczęły rozmowę między sobą. Ksiądz jako człowiek wszystkiego świadom, rozumiał także i głos ptasi; wzięła go przeto chęć posłuchać, co też owe stworzenia prawią. Ledwo uszu nadstawił, poznał, że to nie ptaszkowie świergocą, ale duchy ciemne gwarzą pomiędzy sobą. Opowiadały one sobie różne ze świata nowiny. I tak jeden się chwalił, że chłopa pijanego utytłał w błocie, drugi, że staremu sknerze kark skręcił, a pieniądze zakopał w takim miejscu, gdzie migotliwymi płomykami kusić będą chciwość ludzką. Trzeci zaś, który najdłużej milczał, odezwał się na koniec:

— Stareć te rzeczy prawicie panowie bracia! Ja zaś wiem iontel jednego naszego kolegi, który zakasuje wszystko, co kiedykolwiek bies spłatał na świecie.

— Cóż takiego? — cóż takiego? — dopytywały się rozciekawione kruki.

— Oto tak — rzekł trzeci diabeł — nasz brat, którego tu brakuje, a który, jak wiecie, jest sukkubem, znajduje się właśnie teraz w Rzymie. Dziś rano, kiedy papież sam mszę odprawiał, on wziął na się ciało z ziemskiego powietrza i ukazał mu się w postaci prześlicznej panny. Musiał doskonale oczarować papieża, kiedy kazał mu na wieczór być u siebie.

— Czy to tylko prawda? — zawołały kruki.

— Nic bardziej prawdziwego na świecie, w tej chwili on tam przebywa i siedzi koło biskupa rzymskiego na łóżku.

— Czy aby — pytały diabły — nie domyśli się papież, że ma do czynienia z zimnym duchem, który ani delektacji ani lubieżności udzielić nie może i który tylko kradnie nasienie od śmiertelnej niewiasty.

— Mam nadzieję — odparł trzeci kruk — że ojciec świętobliwy tak jest oczarowany, że łatwo go będzie przywieść na ostatnią sromotę.

Proboszcz wiślicki, słysząc to wszystko, zmiarkował od razu, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi całemu chrześcijaństwu, postanowił tedy wdać się bez zwłoki w tę nieszczęsną sprawę. Znając wszystkie egzorcyzmy, zaklął kruki tak, że te jak przykute nie mogły się ruszyć z miejsca. Diabły widząc, z jakim potężnym nieprzyjacielem mają do czynienia, dalej w prośby, ale na próżno! Ksiądz, który myślał jakby ratować duszę Ojca świętego, coraz okropniejszymi formułami smagał owych biesów, na koniec temu, co ową historię opowiadał, kazał się zanieść do Rzymu.

Diabeł, który chciał się jakoś od tego nakazu wykręcić, zapytał chytrze:

— A na czymże cię zaniosę, mości księże? Na moim grzbiecie będzie niewygodnie.

— Weź drzwi od kościoła — rozkazał proboszcz — i nieś mnie do Rzymu!

— A czy ponad konopie, czy pod konopie? — dowiadywał się jeszcze bies.

Ksiądz wiedział dobrze, w czym była podrywka szatańska. Konopie znaczyły las, diabeł chciał go złowić na słówko i proboszcza o drzewa roztrzaskać.

— Ponad konopie, mości czarcie, ponad lasy i góry, abym nie doznał żadnej krzywdy ani na duszy, ani na ciele.

Diabeł widząc, że sprawa przegrana, wyrwał drzwi z wiślickiego kościoła razem z zawiasami, ksiądz wsiadł i oto z przeraźliwym świstem jechali do Rzymu. Pęd powietrza był tak silny, że w pewnej chwili księdzu czapka zleciała z głowy.

— Hej, stój! — krzyknął proboszcz na diabła — bom zgubił kaszkiet.

— Ho, ho! — ryknął diabeł — nie pora stawać, twój kaszkiet leży już w trzecim królestwie.

W okamgnieniu znaleźli się w Rzymie przed pałacem papieskim. Proboszcz wiślicki, nie zastanawiając się wcale, ruszył śmiało do sypialni, a diabeł czekał posłusznie na dworze z drzwiami na plecach. Na nieszczęście to wszystko, o czym opowiadał, okazało się prawdziwe. Papież leżał na łóżku, a koło niego siedziała nadobna wielce niewiasta. Ksiądz nie tracąc czasu i nie mówiąc ani słowa, sunął śmiało ku onej pokusie i w imię Trójcy Przenajświętszej uderzył ją w pysk od lewicy. Od razu zniknęły różowe liczka, rozwiały się jasne włosy i zgasły niebieskie oczęta. Piękna panna rozlała się w cuchnącą kołomaź.

Ojciec święty zemdlał ze strachu, a kiedy wrócił do przytomności, usłyszał od wiślickiego proboszcza całą prawdę. Skromny księżyna nie żałował papieżowi wyrzutów, karcił go ostrymi słowy i tak go wreszcie skruszył, że namiestnik Boży uklął przed prostym, wiejskim plebanem i kazał mu siebie wyspowiadać.

Spełniwszy chrześcijański obowiązek ksiądz spieszył do domu. Diabeł czekał za drzwiami, ale złośliwy bies nie mógł się powstrzymać od wypłatania figla. Zamiast bowiem drewnianych drzwi z Wiślicy wyrwał olbrzymie, żelazne podwoje z kościoła św. Piotra i na nich przywiózł księdza z powrotem.

Gdy przybyli na miejsce, proboszcz zmiarkował, że dość jeszcze ma czasu, aby posłużyć się diablem. Niewiele myśląc kazał mu brukować groblę na błotach Nidy. Diabeł zastrzegł jednak sobie kontraktem, że co pierwszego przejdzie przez ten pomost będzie jego własnością z duszą i ciałem.

Na drugi dzień zdumieni ludziska oglądali wspaniałą groblę usypaną przez niedostępne dotychczas trzęsawiska rzeki.

Tymczasem diabeł dokonawszy nakazanej mu pracy ustawił u wylotu grobli rogatkę i przy niej czyhał na pierwszą duszyczkę, która się pojawi. Proboszcz jednak obawiając się, aby któraś z jego owieczek nie padła ofiarą szatańskiego podstępu, nakazał, aby nikt przez groblę nie przechodził. Mając zaś wieprza chudego, co się zowie skóra i kości, kazał go na groblę podpędzić. Diabeł usłyszawszy, że coś nareszcie idzie, rzucił się w skok, patrzy... a tu jawi się przed nim zbiedzona nierogaciczna. Zapieniwszy się ze złości chwycił świnię za ogon, zakręcił i z całej mocy cisnął w sam środek grobli, tak że wybił jamę, której nikt dotąd naprawić nie może.

Tak to jednej pamiętnej nocy skromny wiejski proboszcz, pogonił bił diabła i odwrócił klęskę całemu chrześcijaństwu grożącą.

Na pamiątkę wydarzeń owych istnieje niezałatana w grobli dziura i wielkie żelazne podwoje z Rzymu przez diabła przyniesione, które dziś jeszcze w kościele wiślickim oglądać można...

Stanisław Dzikowski

(Z II serii „Klechd Polskich" opracowanych przez **Stanisława Dzikowskiego,** które ukażą się niebawem nakładem „Czytelnika")

Wycinanki łowickie na kartkach pocztowych

W oknach wystawowych w Warszawie ukazały się piękne siedmiobarwne wycinanki łowickie wydane przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Wydane w naturalnych kolorach 24 wzory wycinanek łowickich spełniają rolę propagatora piękna sztuki ludowej. Niewątpliwie staną się one dzięki artyzmowi i niskiej cenie najpopularniejszą pocztówką w kraju.

W przygotowaniach są dalsze serie widokówek krajoznawczych, których zadaniem jest wynikająca z założeń P. T. K. stała i systematyczna obsługa w tym zakresie wszystkich miejscowości turystycznych w kraju. Aby to ważne społeczne zadanie spełnić Dział Wydawnictw P. T. K. zwraca się do wszystkich miłośników piękna polskiego krajobrazu i sztuki ludowej o nadsyłanie materiałów pod adresem: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, Oddział Warszawa, Dział Wydawnictw, ul. Wilcza 22 m. 8.

„SPACERKIEM PRZEZ PONIATOWSZCZAKA"

(Dokończenie ze strony drugiej)

rząd Miejski przeprowadził się z Pragi do samego centrum — do wielkiego ocalałego gmachu BGK, który teraz stał się pospołu przytuliskiem władz stołecznych i rozmaitych instytucji bankowych. Niebawem, gdy zadekretowane zostały śluby cywilne, wyniosły brudnoszary gmach na rogu Nowego Światu i Jerozolimskich, gdzie znalazł pomieszczenie urząd stanu cywilnego — stał się przybytkiem regulującym ruch demograficzny Stolicy, nader popularnym obiektem westchnień i żartów.

Na rogu Hożej i Marszałkowskiej w jakiejś nieprawdopodobnie kiszkowatej sali na piętrze otworzony został pierwszy teatr tej części miasta — „Teatr Mały", istny szczyt absurdu teatralnego budownictwa, a równocześnie zupełnie rozbrajający dowód potrzeby sztuki, która w tym czasie żarła warszawiaków.

29 maja uruchomiono stację Filtrów na Filtrowej i odtąd ludność zaczęła czerpać wodę z 77 punktów specjalnych, zamiast jak dotąd ze zwykłych studzien podwórzowych, gdzie w kolejce stało się nieraz długimi godzinami. W kilka tygodni potem rozpoczęła pracę stacja Pomp Kanałowych. 2 czerwca ruszyły pompy na Czerniakowskiej. Rozpoczęło się systematyczne włączanie coraz to nowych kwartałów miejskich do sieci wodociągowej i kanalizacyjnej. Była ona potężnie zniszczona i choć w najbardziej porujnowanych partiach miasta jeszcze w końcu 1946 roku prowadzono jej odbudowę, to jednak większość mieszkań i budynków otrzymały wodę już w ciągu lata 1945 oraz jesieni i zimy 1946. Gdy w czerwcu długość sieci wynosiła 112 km, w grudniu już 353 km, w rok potem 531 km, przy przedwojennych 623 km. W czerwcu do sieci wodociągowej przyłączonych było 841 ruchomości, a do kanalizacyjnej żadna, w grudniu 1945— do kanalizacyjnej 3.500, do wodociągowej — 4.619. W grudniu 1946: do wodociągowej — 7.430, do kanalizacyjnej — 5.678 nieruchomości. 3 czerwca pisał dziennikarz w gazecie: „Doczekamy się też może nareszcie tej niezapomnianej chwili, że po odkręceniu kurka — do szklanki czy do miski pocieknie nam przezroczysty zimny płyn: woda". W dniu uruchamiania Filtrów— było to jeszcze marzenie, choć mające podstawy realizacji. Niebawem słowa miały się rzeczywistością. W dwanaście miesięcy potem większość ludzi w mieście już nie pamiętała, jak to obywali się w domu bez elektryczności, bez bieżącej wody i bez gazu.

16 czerwca Warszawskie Koleje Dojazdowe na trasie Grójeckiej i Wilanowskiej naprawiwszy od stycznia cztery mosty, 5 wież wodnych, 2 obrotnice, 700 metrów toru, 47 rozjazdów, uzupełniwszy w części zniszczenie 9 parowozów, 4 wozów motorowych, 18 wagonów osobowych i 82 towarowych — poczęły dojeżdżać do swych starych stacji na Puławskiej i Belwederskiej.

20 czerwca ruszyły na Pradze pierwsze tramwaje. Zniszczenie taboru tramwajowego było wysokie. Z 723 wagonów ocalało 160. Porwane były szyny. Pozwalane słupy elektryczne. Zniszczona elektrownia na Przyokopowej, spalone zajezdnie na Mokotowie, Burakowie, Woli, Pradze.

5 dni przed terminem uruchomiony został w Elektrowni drugi turbogenerator o mocy 4000 kW, a w kilka dni później — trzeci. Ilość zelektryfikowanych posesji wynosiła wtedy zaledwie 1.067 i obejmowała głównie gmachy użyteczności publicznej. Do końca roku 45 wzrosła o 5 tysięcy, do końca 46 — o 8 tysięcy. Ilość liczników od 3.826 powiększyła się w pół roku do ponad 61 tysięcy, a w ciągu półtora roku — 94.359. W lipcu zabłysło w późne wieczory 126 latarń ulicznych. Pierwsze z nich zapłonęły dnia pewnego przed „Polonią", świeżo wyremontowanym gmachem hotelowym, gdzie wobec uznania przez niemal wszystkie państwa i mocarstwa nowego Rządu Jedności Narodowej, przygotowano pierwszą kwaterę zagranicznej dyplomacji.

25 czerwca rozpoczęła produkcję i przesyłanie gazu gazownia na Woli. Początkowo dostarczano gazu tylko do 157 mieszkań. W grudniu 45 r. obsługiwano już 6.477 mieszkań, w grudniu 1946 r. — 20.000.

Na Pradze kursowały już niebawem dwie linie tramwajowe, a BOS ogłosił, iż oczyszczone zostało 25 km tras lewobrzeżnego miasta, po których przebiegać będą tramwaje i dotychczas nieznane stolicy trolleybusy przysłane jako dar Moskwy dla Warszawy.

Uruchomienie Gazowni, Elektrowni wodociągów i kanalizacji, oczyszczenie zasadniczych ulic z gruzu, wyremontowanie pierwszych domów, puszczenie na Pradze pierwszych tramwaji, wznowienie czynności Muzeum Narodowego, występy stałe teatru po tej stronie Warszawy — drugi był już wcześniej czynny na Pradze — to wszystko dokonane między mroźnym styczniem a ciepłym lipcem 45 roku — było pierwszą elementarną pomocą zaaplikowaną dogorywającemu miastu. Uratowano je w ten sposób od śmierci.

Można było przystąpić do następnego etapu walki z ruinami. Rząd szykował się do przenosin z prawego na lewy brzeg Wisły, co znaczyło, iż na lewym brzegu coraz więcej będzie niezbędnych do zaspokojenia potrzeb natury budynkowej i komunikacyjnej, tych potrzeb pierwszej ważności, które przecież najskuteczniej wpływają na przyśpieszenie tempa odbudowy. Błogosławiona była decyzja z 1 lutego, błogosławione były skutki przeniesienia się z Pragi do Warszawy.

W tym samym czasie kierownik BOS zakomunikował prof. Hemplowi, iż huty śląskie są w stanie wykonać na termin nie tylko most prowizoryczny, ale już od razu stały. Przystąpiono do wstępnych prac przy budowie nowego „Poniatowskiego". Sprawa mostu stała się najpilniejszą potrzebą odbudowującej się stolicy. Nie mogło być nic ważniejszego, gdyż most wysokowodny nawet z pomocą „pontoniaka" w żadnym razie nie mógł rozwiązać trudności komunikacyjnych. Były to mostki zaledwie, a stolica liczyła sobie już 408.000 ludzi (sierpień). Warszawa bez dużego normalnego mostu — choćby jednego — dusiła się po prostu.

Most znalazł się w centrum zainteresowań całego miasta. Daty na hormonogramie robót skaczą z niewiarygodną prędkością. 30 lipca rozpoczyna się wbijanie pali i ludność okoliczna żali się że szyby jej lecą z okien. 23 sierpnia „Chorzów" sygnalizuje wysłanie wagonów z pierwszymi gotowymi elementami mostu. Jednak brak bocznicy kolejowej doprowadzonej do przyczółka mostowego sprawia, iż materiały do budowy mostu w tej połowie dwudziestego wieku zwozi się zwyczajnymi furmankami, z niewielką pomocą paru samochodów.

Prace choć posuwają się szybko, raz po raz zatrzymują się wobec przeszkód uciążliwych i nieznośnych, przypominających, że most trudno będzie wybudować w sześć miesięcy w kraju wojną zniszczonym. Sygnalizowano trzy wagony z kranem portalowym. Nie przychodzą na czas, gdyż skierowano je zamiast na brzeg wschodni — do Pruszkowa, ażeby stamtąd przejechać na Warszawę Wschodnią muszą jechać przez Koluszki, Skarżysko, Radom i Dęblin, co trwa niemal 10 dni! Muszą jechać przez kraj zdemoralizowany, którego ludność biadająca i urągająca nad powolnością odbudowy stołecznego mostu równocześnie nie omieszkała okraść transport z drobnego lecz najcenniejszego sprzętu montażowego. A przecież ludzie tego kraju są jednak pełni zapału. Inżynier Sigalin zastępca kierownika BOS zanotuje pod datą 1.IX: „Hutnicy z „Horzowa" i „Pokoju" wołają o dalsze rysunki, bo zdarzają się noce wolniejsze, kiedy między jednym a drugim obstalunkiem państwowym można wywalcować blachy dla któregoś łuku".

I znowu daty wyznaczają tempo pracy: 5 września ukończono rusztowanie pierwszego przęsła. 18 września uruchomiono całość urządzeń montażowo-elektrycznych, 26 września — przybył ze Śląska ostatni łuk pierwszego przęsła.

Sprawa jednak nie była łatwa. Należało się śpieszyć jeszcze bardziej. Zima zbliżała się nieubłaganie, z nią niebezpieczeństwo lodów.

1 października przybór wody zerwał słupy elektryczne. Równocześnie rozpoczęto montaż pierwszego łuku pierwszego przęsła.

10 października o czwartej po południu podniesiono pierwszy łuk. Gapiono się na to z Warszawy i z Pragi, jak wznosiło się ku górze czerwono-pomarańczowe żebro. W dwanaście dni później podniesiono ostatni łuk tegoż przęsła.

Równocześnie rozpoczął się atak zimy. Przybór wody. Chłodno i deszczowo. Pierwsze mrozy. Jeszcze trzeba było przyśpieszyć tempo pracy. Między dwudziestym listopada a drugim grudnia — ustawione zostają wszystkie łuki trzeciego przęsła.

Czwartego grudnia ma stanąć łuk ostatni i Warszawa ma zostać połączona z Pragą. Tramwajarze czekają niecierpliwie na tę chwilę, by zacząć kłaść szyny przez wszystkich utęsknionego tramwaju.

O godzinie 14.35 zadzwonił telefon w gabinecie kierownika BOS. Raport był przeraźliwy: siedem łuków trzeciego przęsła poszło w wodę. Zabity 21-letni młody monter Józef Krupnik i dziewięciu innych rannych. Wszystkie przewody pozrywane.

Grażyna Terlikowska-Woysznis tak powtarza za robotnikami szczegóły katastrofy:

„...Myśmy mieli odczepiać kran od ostatniego łuku trzeciego przęsła. Pierwszy skoczył do roboty Józef Krupnik. Naraz ten pieroński łuk się przekrzywił i przygniótł mu rękę. Chłopak najpierw krzyczał, a potem zaczął mdleć. Cięli my toto żelastwo, żeby go uwolnić, aż my obcieli. A tu jak nie gruchnie wszystko na nas. Józka od razu zmiotło na dno. Warszawiaków było nas trzech i ślązaków czterech. Akurat spojrzałem — opowiada cieśla Barszcz— jak zaczęły się walić te łuki. Rany Boskie! Przylecieliśmy po tych zwalonych łukach: koledzy leżeli całkiem przyciśnięci. Taka była kupa tego żelastwa, że się nie można było z początku rozeznać, co i jak. W dodatku elektryczność ich trzęsła, bo przewody zostały zerwane. Na szczęście elektrotechnik się zorientował i wyłączył prąd, bo by ich pozabijało. Jak tu ratować. Łuków nie ulżym. Więc znowu po tej zwalonej konstrukcji po butle tlenowe i z niemi z powrotem. Ciemno było. Łuki obślizgle. Zaraz też z brzegu nadlecieli spawacze. Obcieliśmy łuki i rusztowania i jakoś wyciągnęliśmy tych biedaków. Po rusztowaniach przenieśliśmy ich i przeprowadzili na brzeg, no a tam już kierowcy nam pomogli i powozili ich do szpitali. A Józek poszedł do wody z tem wszystkiem. Szukali my go zaraz, ale nie znaleźliśmy"...

Nie należało tracić ani godziny. Walka ze skutkami katastrofy musiała być walką o najszybsze powadzenie dalszych prac montażowych. Nie przerwano ich na pierwszym i drugim przęśle. W cztery godziny po katastrofie wskutek zlecenia telefonicznego „Chorzów" przystąpił do owej pracy nad wykonaniem nogi kranu portalowego i nowych łuków. Ustalono nowy termin oddania mostu do użyku — 15 marca.

Wisła jednak — tym razem dziwnie Warszawie wroga, a może tylko bawiąca się w nazbyt surowego pedagoga — nie daje za wygraną. Raz na pięćdziesiąt lat lody ruszają wcześniej — już w końcu grudnia — tym razem właśnie ruszyły. 21 grudnia ogłoszone zostaje ostre pogotowie. 24 grudnia ruszyło pole lodowe — w wigilię — połamało rusztowania odgórne trzeciego przęsła, zniszczyło most montażowy, wyłamało pale czwartego przęsła...

Trzeba było ogłosić chwilowe zawieszenie broni. Robot przerwano na kilka tygodni. Aż do zejścia lodów. Wiosną dopiero podejmie się ostateczny montaż 3 i 4 przęsła.

W ciągu 11 miesięcy zaczęły działać telefony. 6 wyższych uczelni w tym Politechnika i Uniwersytet przyjęło w swe mury 5.000 studentów. 31 gmachów szkolnych oddanych zostało do dyspozycji szkół. 14 szpitali. 11 linii tramwajowych. Pracowało 1000 warsztatów przemysłowych. Ponad 1500 zakładów, handlowych, w tym 668 restauracji czy barów oraz 107 księgar i sklepów z dziełami sztuki czynnych było, w parterowo wyremontowanych fragmentach spalonych kamienic. Urzędowało 9 banków. Ukazywało się 5 dzienników, 15 tygodników, 20 miesięczników, 18 periodyków. Parterowa odbudwa rozwijała się w tempie wprost niebywałym. Odremontowano 10 kościołów i kaplic.

Za dwa tygodnie zainaugurować miał swą nową działalność przedstawieniem „Lilly Wenedy" odbudowany Teatr Polski. Za tydzień sprawniejsza starą gracią i werwą ruszyła pierwsza śródmiejska linia tramwajowa — „dziewiątka" i pierwszy trolleybus przetoczył się z placu Unii Lubelskiej na Teatralny, niezdarnie prowadzony przez niezwyczajnych szoferów, którym kabląk pradowy niemal na każdym zakręcie zeskakiwał z napowietrznych drutów, ku uciesze gawiedzi.

Wreszcie 466,6 tysięcy mieszkańców znajdowało w stolicy dach nad głową, i choć dach każdego lokum musiał pomieścić jeszcze nazbyt wielu ludzi, to jednak żyli oni i trwali, a więc miasto było odbudowywane.

Porzućmy rok 1946 u jego progu. Nie trzeba już śledzić dzień po dniu pracy nad odbudową miasta. Wystarczy tylko zanotować, że rok ten, jak i lata następne pomnażały stale i w postępie geometrycznym podnoszenie się Stolicy z gruzów i zniszczenia.

Wiosną podjęto prace przy moście Poniatowskiego. Ukończono je w brawurowym tempie. 22 lipca, w Święto Państwowe, most oddany został do użytku Warszawie. Przeszły przezeń pierwsze manifestacyjne pochody młodzieży, przejechały pierwsze auta, zadzwoniła pierwsza „25", a Wiech napisał o tym fakcie felieton i nazwał go „Spacerkiem przez Poniatowszczaka". I ten „spacerek przez Poniatowszczaka" stał się symbolem całego roku 1946.

Wąskie gardło komunikacyjne Warszawy zostało poszerzone!

Serce państwa biło mocno i normalnie. Zdolne było nieść pomoc regenerującemu się organizmowi całej reszty kraju. Zwyciężyliśmy bój ze śmiercią!

Kazimierz Koźniewski

Fragment książki (reportaże) pt. „Chleb", która ukaże się nakładem „Wydawnictwa Zachodniego i Morskiego".

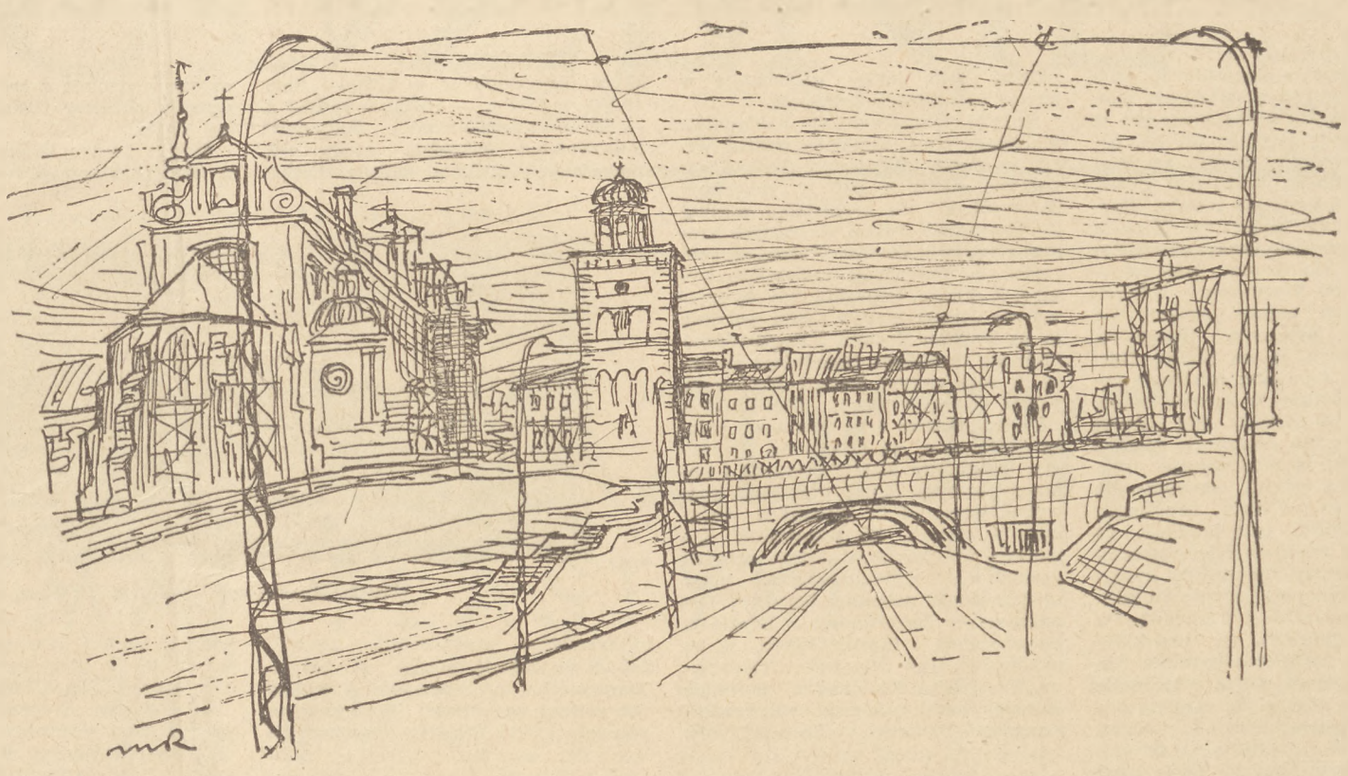

rys. Marek Rudnicki

Wschodni wlot tunelu Trasy WZ

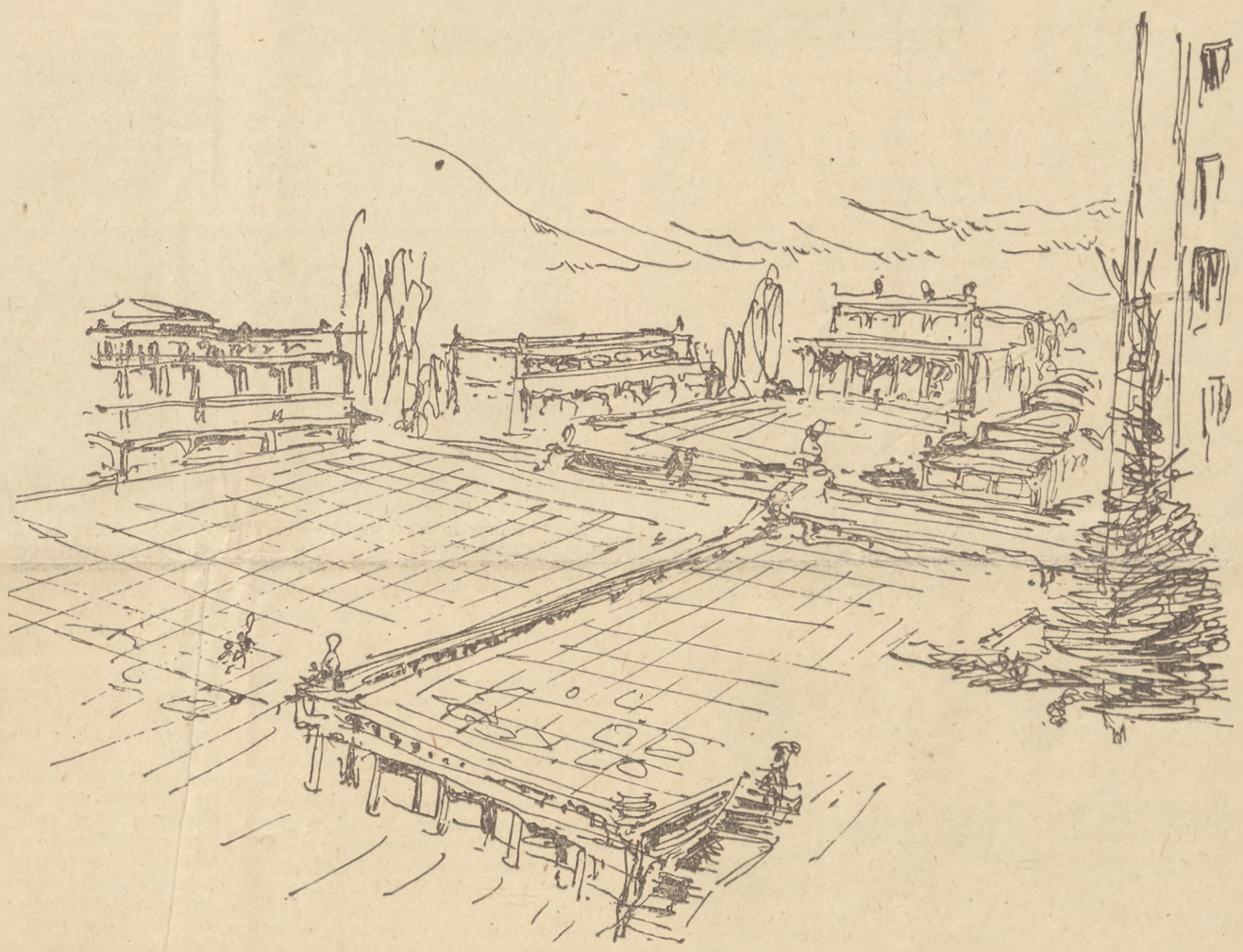

rys. Andrzej Borecki

Osiedle robotnicze Młynów

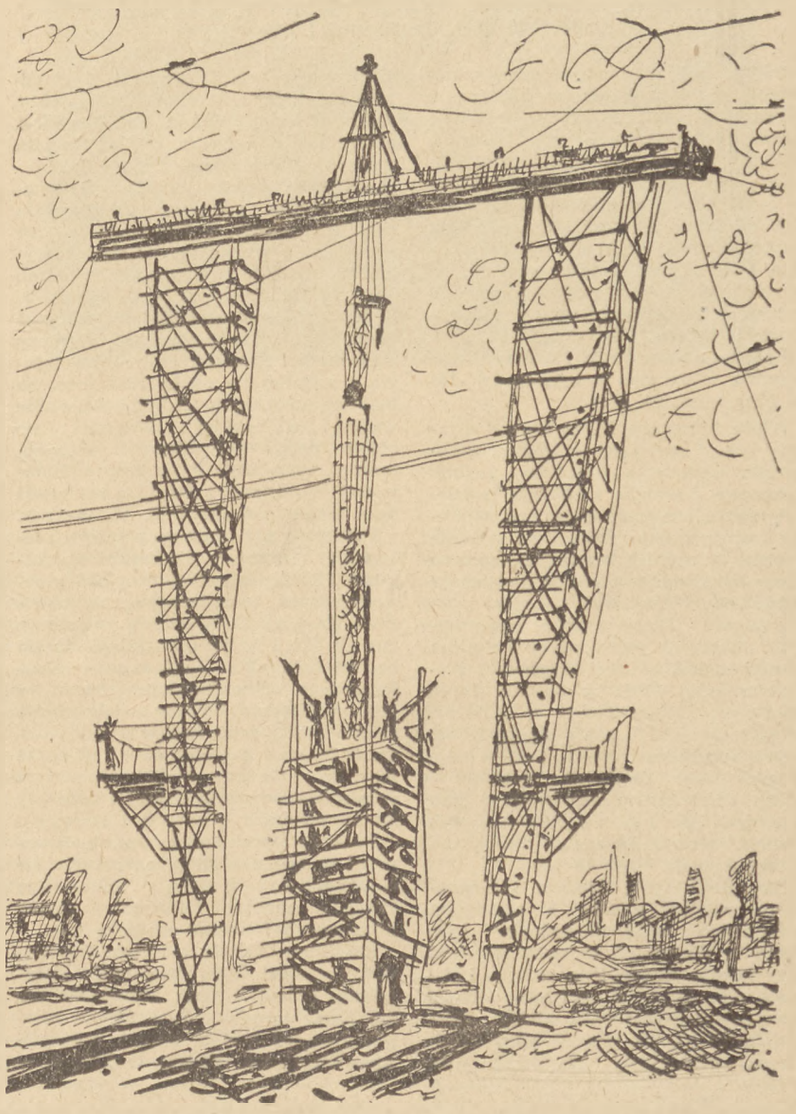

rys. Jan Lenica

Ustawianie kolumny Zygmunta

STANISŁAW SZENIC

Panoramy starej Warszawy

Najważniejsze wydarzenie w dziejach Warszawy, tj. podniesienie miasta do godności stolicy, nastąpiło w roku 1596, kiedy to Zygmunt III, pozbawiony, wskutek pożaru na Wawelu, królewskiego dachu nad głową, przeniósł swój dwór do Zamku Warszawskiego. Ale pożar na Wawelu mógł być tylko zewnętrznym bodźcem przeniesienia się dworu królewskiego na stałe do Warszawy. Właściwych przyczyn należy szukać we wzrastającym znaczeniu Warszawy, predestynującym ją na stolicę Rzeczypospolitej. Było nim centralne położenie w państwie, w środku szlaku ze wschodu na zachód, nad główną arterią transportu rzecznego, niezbyt daleko do świeżo odzyskanego morza. Warszawa powoli stawała się najważniejszym węzłem drogowym nowożytnej Polski, tym bardziej, że dawne szlaki średniowieczne straciły znaczenie, między innymi po zdobyciu Konstantynopola przez Turków. Centralne położenie Warszawy w Polsce spowodowało, że wniesiony już w 1547 r. projekt odbywania sejmów w Warszawie został ostatecznie uchwalony w 1569 r. Warszawa stała się miejscem selekcji królów. Jeszcze w 1548 r. osiedliła się na stałe w Warszawie królowa Bona wraz z córkami, aby podnieść zaniedbane gospodarczo Mazowsze i Podlasie — „oprawę" swego wiana. W Warszawie też najchętniej i najczęściej przebywał król Zygmunt August.

Niektórzy dziejopisowie Warszawy, jak Weinert i Gomulicki, starają się dowieść, że została ona stolicą na mocy specjalnego aktu, podpisanego przez Zygmunta III, wydanego w Warszawie dla Warszawy w kwietniu 1598 r. Jednak na skutek knowań wpływowej osobistości, akt powyższy, pod długą nieobecność króla wojującego nieszczęśliwie z Karolem Sudermańskim, nie otrzymał znamion urzędowych. Pozbawiony pieczęci królewskiej i podpisu kanclerza, został w tendencyjnej przeróbce, odejmującej przywilejowi istotną treść, wciągnięty do Voluminów Legum.

Trudno dzisiaj ustalić, jak się sprawa z tym przywilejem w rzeczywistości miała. W każdym razie Warszawa stała się stolicą de facto, de jure nią nie była. Biskupstwo Warszawskie nie zostało utworzone, wojewoda krakowski nadal w senacie zajmował krzesło przed wojewodą mazowieckim. W literaturze również nie wszyscy uznawali jej stołeczne wywyższenie.

W każdym razie już w chwili przesiedlenia się domu królewskiego była Warszawa znacznym miastem europejskim. Jej szesnastowieczną panoramę znamy z dwóch rysunków: z drzeworytu, umieszczonego w tytule Konstytucji, wydanej w Krakowie roku pańskiego 1589 w drukarni Mikołaja Szarfenbergera, oraz z pięknego miedziorytu, zamieszczonego w tomie VI dzieła Brauna i Hogenberga, zatytułowanego „Theatri praecipuarum totius mundi liber sextus", a rysunek Warszawy, sporządzony z natury, został przygotowany niewątpliwie w ostatniej ćwierci XVI wieku. Świadczą o tym herb Batorego, olbrzymia wieża nad kolegiatą Św. Jana oraz most na palach.

Widok Warszawy z ostatniego ćwierćwiecza XVI w. na sztychu zamieszczonym w dziele Brauna i Hogenberga

Wieża kolegiaty, którą zerwał straszny orkan szalejący w 1602 r., zdruzgotała sklepienie kościoła, rozbiła kamienną posadzkę i odkryła podziemie zapełnione trumnami. Zaś, pierwszy warszawski most na trasie wschód — zachód, zerwały spiętrzone zwały lodu wskutek braku nadzoru w roku 1603. Przetrwał on równe lat trzydzieści. Budowę jego z ogromnych dębowych pali rozpoczął według planów z 1549 r. król Zygmunt August w roku 1568, a ukończyła ją siostra królewska Anna w 1573 r. Współcześni nie mogli się nadziwić wspaniałej konstrukcji. Liczne pale przeszkadzały żegludze jeszcze w wieku dziewiętnastym. Wiele z nich „czarnych jak heban i twardych jak kamień" zużyto na meble dla gubernatora księcia Paskiewicza.

Na miedziorycie Brauna i Hogenberga widzimy miasto z szeregiem kościelnych wież. Kościołów było wtedy w Warszawie dziewięć, spośród nich góruje w centrum miasta kolegiata Św. Jana z opisaną bodajże osiemdziesięciometrową wieżą. Most znajdował się na wprost ulicy Waliszewo, późniejszej Mostowej, całe miasto było jakby przesunięte w stronę dzisiejszego Żoliborza.

Rozwój Warszawy w następnych stuleciach obrał kierunek wzdłuż Wisły w stronę Wilanowa. Po pożarze podczas sejmu w 1607 r. przystąpił Zygmunt III do rozbudowy zamku. Za panowania dwóch pierwszych królów z rodziny Wazów Warszawa rozrasta się, zmieniając zasadniczo wygląd. Z miasta, trzymającego się przeważnie obrębu murów (jaką widzimy ją na sztychu Brauna i Hogenberga) staje się rozległym. Zasadnicze akcenty w nim tworzą Zamek Królewski, pałace Kazanowskich, Ossolińskich i Koniecpolskich oraz dwa nowe pałace królewskie, na drodze do Ujazdowa: późniejszy Kazimierzowski i pałac w samym Ujazdowie. Poza tym wybudowano aż 57 dworków, tonących w zieleni. Za panowania Zygmunta III przybyło siedem nowych kościołów, wybudowanych przez zgromadzenia zakonne Jezuitów, Dominikanów, Reformatów, Brygidek, Bernardynek i Karmelitanek, a za panowania jego następców Władysława IV i Jana Kazimierza powstało dalszych sześć zakonów, mianowicie Karmelici, Pijarzy, Franciszkanie, Benonici, Wizytki i Szarytki. Każdy nowy zakon budował kościół. W panoramie Warszawy nad kościołami górują wspaniałe pałace magnackich rodzin, a po 1644 roku nie brak również charakterystycznej sylwety kolumny Zygmunta III. Taką widzimy Warszawę na sztychu Ericka Johna v. Dahlberga z roku 1655 w dziele Puffendorfa.

Inwazja szwedzka, a w szczególności siedmiogrodzkie wojska Rakoczego, pozostawiły z kwitnącej Warszawy gruzy i wypalone mury. Lustracja przeprowadzona w 1659 r. stwierdziła, że spośród tysiąca domów całej Warszawy ocalały zaledwie 342. Z pozostałych domów zgorzała jeszcze znaczna część w pożarze, powstałym podczas elekcji Michała Wiśniowieckiego. Po roku 1675 Warszawa powoli zaczęła się odbudowywać. Król Jan Sobieski sprowadza Kapucynów na Miodową i Karmelitów na Leszno, królowa Marysieńka funduje żeński zakon Sakramentek, ponadto wielki bazar, od jej imienia nazwany Marywilem. Dwory ustępują miejsca coraz liczniejszym pałacom. Wojna północna zahamowała ruch budowlany, a wybuchła w 1710 r. epidemia morowego powietrza wyludniła miasto, uśmiercając rzekomo do trzydziestu tysięcy mieszkańców. Prędko jednak zwyciężyła żywotność Warszawy. Król August II pierwszy wprowadza planową rozbudowę miasta i przystępuje około 1713 roku do budowy wspaniałej siedziby dla siebie wzdłuż „osi saskiej". Magnaci nie chcąc ustępować królowi wznoszą możne rezydencje. Panoramę odbudowanej Warszawy z lat 1730 zachował nam śląski sztycharz F. B. Werner.

Podstawę pod szerszą planową rozbudowę Warszawy stworzyła za Augusta III Komisja Brukowa pod przewodnictwem energicznego marszałka Bielińskiego. Oczyszczono miasto z gór śmieci i błota i przystąpiono do brukowania ulic. Brukowanie Krakowskiego Przedmieścia trwało 4 lata, a Nowego Światu — 3, mimo że nie pokrywano brukiem całej ulicy, a jedynie pas szerokości 10 do 14 metrów. Kanały budowane w tym czasie odprowadzały ścieki i osuszały liczne wówczas glinianki i stawy.

Poza licznymi kościołami, budowanymi w epoce saskiej, rozpoczęło się budownictwo koszar, mianowicie Gwardii pieszej koronnej, koszar mirowskich i koszar saskich.

Stanisław August od początku rządów rozwinął żywą działalność budowlaną, której koroną pozostanie pałac Łazienkowski. Rozbudowie miasta sprzyjał wielki wzrost zaludnienia. Warszawa liczyła w 1754 r. — 23.000 mieszkańców, w 1770 — około 40.000, w 1777 r. — 70.000, a w 1787 r. — 96.000 mieszkańców. Budynków murowanych posiadała wtedy 980, drewnianych 2100. W 1792 r. liczba mieszkańców przekroczyła 115 000. Zabudowa miasta poszła w trzech kierunkach, najintensywniej wzdłuż osi saskiej na zachód, następnie na południe aż do Bagateli oraz na północ, gdzie na Żoliborzu powstaje dzielnica letnich pałaców i dworków. Widoki Warszawy stanisławowskiej są znane ogólnie z często reprodukowanych obrazów Canaletta, Albertiego, Vogla.

Widok Warszawy z połowy XVII w. według sztychu E. J. Dahlberga

Widok Warszawy ze sztychu ślązaka F. B. Wernera z dzieła „Sławne widoki miast"

Wielki kryzys bankowy w 1793 r., a następnie ostatni rozbiór Polski hamują rozwój Warszawy. Ludność jej spadła w pierwszych latach rządów pruskich do 62 000 mieszkańców.

Za Księstwa Warszawskiego opracowuje się z polecenia ministra policji plan regulacyjny miasta, nieliczący się z tradycyjnym układem posesji i stosunkami własnościowymi. Pierwsze zostają rozebrane zabytkowe bramy Starej Warszawy, następnie ratusze Starej Warszawy i Grzybowa, wreszcie kilka kościołów i pamiątkowych zabytków. Dwa mosty, wybudowane przez inżynierów francuskich, most palowy, wystawiony w 1807 r. na wprost Mariensztatu, i także most marszałka Davousta z r. 1808 wprost ulicy Bednarskiej przetrwały zaledwie po kilka miesięcy: zniesione zostały przez Wisłę.

W Królestwie Kongresowym zostaje powołana w 1817 r. Rada Budownicza, która rozwija znaną owocną działalność przy poparciu kredytowym ze strony rządu. W sześcioleciu 1817 — 1823 wybudowano 200 nowych budynków. Wysuwają się architekci Corazzi, Kubicki, Aigner, Marconi. Wybudowanie Cytadeli zamyka miasto z północy. Warszawa otoczona podwójnym pierścieniem fortyfikacji nie może się rozrastać poza ich obręb. Budownictwo kapitalistyczne, dla którego jedynym miernikiem jest jak największy zysk, buduje koszarowe kamienice czynszowe, pozbawione światła. Znikają pałace i liczne dworki, tonące w zieleni, Warszawa zmienia się w pozbawione uroku najbrzydsze morze kamieni.

Trasa WZ odkrywa i uwypukla sylwetki pięknych starych budowli oraz rekonstrukcje budowli zniszczonych, upiększonych w świetnie odczutym dawnym stylu, odsłania wspaniałe widoki na nowowybudowane gmachy i domy, które stały się częścią Starej Warszawy, jednoczy najnowocześniejsze osiągnięcia techniczne z urokiem przebrzmiałych czasów, jest imponującym wycinkiem w panoramie Warszawy Przyszłości.

Stanisław Szenic

DOKOŃCZENIA

Sprawa puścizny kulturalnej i historycznej

(Dokończenie ze strony piątej)

struowana. Warszawie przybył jeszcze jeden fragment architektury zabytkowej, włączony do nowoczesnej kompozycji.

Oddzielnym zupełnie zagadnieniem przy projektowaniu Trasy WZ był projekt i budowa kolonii mieszkaniowej na Mariensztacie. Przed wojną mało kto był gościem tej dzielnicy Warszawy, dzielnicy, która — aczkolwiek położona w tak pięknym miejscu, w sąsiedztwie Zamku Królewskiego, nad Wisłą, u podnóża Skarpy i Kościoła św. Anny — była jednak jaskrawym zaprzeczeniem racjonalnej zabudowy, a miejscami przypominała nędzne prowincjonalne miasteczko. Tereny te — to dawna jurydyka „Marienstadt" założona przez Marię z Kątskich Potocką w roku 1762. Obca w brzmieniu nazwa jurydyki pochodzi od imienia Marii, fundatorki, a uzasadnienie znajduje w panującym wówczas zwyczaju dawania obcych nazw dzielnicom stolicy. Był to okres, kiedy cudzoziemski fraczek wypierał kontusz i żupan, misterna peruczka podgolone czuby, a wśród polskich Grzybowów, Ujazdów i Bugai rodziły się dziwotwory, jak Joli Bord, Mon Cotteau lub Mariensztadt.

W pierwszych dziesiątkach lat swego istnienia jurydyka zabudowana była szeregiem domków i dworków dopasowanych ściśle do skali Powiśla, z czasem jednak — zwłaszcza po wybudowaniu mostu Kierbedzia i wiaduktu Pancera — zaczęły je zastępować olbrzymie, stojące jeszcze do niedawna czynszowe domiska, których właścicielom absolutnie nie zależało ani na tym, by lokatorom dobrze się mieszkało, ani też na tym, aby Warszawa była ładnym miastem. Ileż czasu nam budowniczym Trasy WZ zabrały wyburzenia tych domów odcinających Warszawę od Wisły i zasłaniających od strony Wisły widok na Skarpę! Wyburzone zostały jednak bez skrupułów wszystkie, aczkolwiek wiele z nich pod względem technicznym znajdowało się w stanie nadającym się do odbudowy. Legły w gruzach, ustępując miejsca nowym domom, dla nowych lokatorów, nowych ludzi, domom zbudowanym pod kątem widzenia potrzeb człowieka i piękna miasta.

Wśród czynszówek przeznaczonych do rozbiórki oko architekta wypatrzyło kilka ruin, których elewacje frontowe były dowodem kultury budowlanej tej jurydyki Powiśla. Domy te pracownia projektodawcza Trasy WZ postanowiła zrekonstruować i włączyć do nowego osiedla. Dziś, doprowadzone do swej formy architektoniczej z XVIII i początku XIX w., są znów ozdobą Mariensztatu. Są potwierdzeniem teorii przyjętej przez autorów projektu Trasy, że odbudowująca się Warszawa szanuje bezwzględnie swe najlepsze tradycje budowlane, że szanuje najlepsze tradycje rzemiosła budowlanego i otacza pieczołowitą opieką te elementy, które stanowią najbardziej wartościową puściznę kulturalną przeszłych pokoleń.

Pamiętając o tych wytycznych, autorzy projektu osiedla Mariensztackiego postawili sobie jednak za zadanie zbudowanie osiedla, które by szanując cenne pamiątki przeszłości odpowiadało jednocześnie nowoczesnym wymaganiom osiedla dla ludzi pracy. Zachowana została sieć ulic dawnej jurydyki. Na ścianach domów widnieją kamienne tabliczki z dawnymi nazwami ulic: Garbarska, Mariensztadt, Krzywopoboczna, Źródłowa Grodzka i Białoskórnicza. Na ulicy Sowiej kamienna Sowa w zamyśleniu wspomina dawne dzieje tej ulicy — wskrzeszona została dobra tradycja budownictwa i rzemiosła budowlanego, odbudowane zostały najwartościowsze zabytki a jednocześnie powstała dzielnica zapewniająca swym mieszkańcom wiele nowoczesnych wygód. Małe piętrzące się nad sobą domki tonące w zieleni, u podnóża odsłoniętej nareszcie Skarpy Warszawskiej, będącej naturalnym parkiem tej kolonii stwarzają dla swych lokatorów — a wielu z nich, to przodownicy pracy z Trasy WZ — prawdziwą atmosferę kultury.

Ogółem w ciągu realizacji Trasy WZ zbudowaliśmy 53 domy, z których znaczny procent stanowią odbudowane budynki zabytkowe. Z jak wielką radością oglądamy ich elewacje, jakże inne są one od architektury, którą wznoszono masowo w latach międzywojennych. Cechuje je dobrze wykonany detal architektoniczny, świadczący o niewygasłych tradycjach budownictwa warszawskiego. Gdy rozpoczynaliśmy budowę, wielu z nas, architektów wyrażało — uzasadnioną zresztą — obawę, że nie uda się znaleźć dobrych fachowców budowlanych, kamieniarzy, bacharzy, sztukatorów itp., którzy by mogli wykonać tak trudne prace Okazało się, że się znaleźli, i co więcej, nie tylko chlubnie wypełnili postawione im zadanie, lecz potafili w ciągu tych kilkunastu miesięcy wyszkolić nowe kadry wysoko wykwalifikowanych robotników budowlanych.

Dziś, po uruchomieniu Trasy WZ z mostu Sasko-Dąbrowskiego rysuje się na tle zachodzącego słońca sylweta miasta, w której możemy już rozpoznać znane nam rysy dawnej Warszawy. Ożyły one dzięki Trasie WZ, która wlała w tę dzielnicę martwych ruin strumień nowego życia. Ukoronowaniem tego dzieła będzie realizacja uchwalonej przez Sejm Rzeczypospolitej w dniu 2 czerwca 1949 roku odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie.

Zygmunt Stępiński

Trasa WZ

(Dokończenie ze strony czwartej)

projektu, przygotowywać przyrządy kreślarskie na dzień następny. Dawało mu to poczucie zwiększenia swego udziału w pracach dla WZ, czyniło zadość jego sprowokowanej przez budowę potrzebie „przyłożenia się".

W pierwszej fazie budowy Trasy zespół architektów z Pracowni WZ wyjechał do Hut Śląskich w Zabrzu i Chorzowie, aby robotników, wykonujących konstrukcję mostu Śląsko-Dąbrowskiego, zapoznać z projektem Trasy WZ. Dom robotniczy hutników z Zabrza: tysiąc robotników prosto ze zmiany, huraganowe brawa, gdy na ekranie pojawiło się przezrocze z perspektywą Trasy WZ od strony Wisły. Gdyby nie to, że architekci byli na budowie bardzo zajęci, nie byłoby zapewne siły, która by powstrzymała ich w lipcu 1949 od wyjazdu z odczytem sprawozdawczym do Zabrza i, co najważniejsza od pokazania na tym samym ekranie przezrocza z wykonanej już budowy — oczywiście obok przezrocza pokazanego ongiś projektu. Chęć powiedzenia robotnikom: „i oto jest tak, jak wam obiecaliśmy" — jest najoczywistszym dowodem tego, że do architektów dotarła już świadomość, dla kogo budują, kto buduje, przed kim są odpowiedzialni. Mówiąc prosto — architektura polska rozpoczęła pracę w służbie dla mas pracujących Polski Ludowej.

Józef Sigalin

Kilka uwag o projekcie Trasy WZ

(Dokończenie ze strony czwartej)

kich zagadnienia walki o nowy wyraz w sztuce — walki zaledwie rozpoczętej. Trasa WZ jest pierwszą potyczką w wielkiej batalii, potyczką, według oceny opinii zarówno krajowej jak zagranicznej, wygraną. Dzisiaj trudno może jeszcze mówić o pełnym wyrazie tego tworu. Trasa nie jest skończona. W ciągu następnych kilku lat będą rosły dalsze jej kapitalnie ważne fragmenty. Wymienię kilka z nich: Zamek Królewski, Centralny Ratusz Stołeczny, budynek Centralnego Zarządu Przemysłu Metalowego, monumentalny zespół gmachów na skrzyżowaniu z Nową Marszałkowską i inne. Tyle o trasie WZ.

Jasne jest, że następne etapy budowy wielkich założeń stołecznych cechować będzie większe zrozumienie celów — bardziej świadome dążenie do ich osiągnięcia, lepsza niż dotychczas koordynacja twórczych wysiłków, oparta o zasady pracy zespołowej. W ogniu dyskusji wykuje się teoretyczne podstawy i pryncypia form sztuki narodowej, wyrosłej ze społeczeństwa i społeczeństwu temu nieodzownie do życia potrzebnej. Walka musi być prowadzona nie tylko o samą produkcję artystyczną, lecz przede wszystkim o wychowanie świadomych producentów sztuki. I wówczas, gdy architekt będzie miał doskonałe poczucie przynależności do wielkiego społeczeństwa i nierozłącznie z nim zrośniętą świadomość narodowa, pracując rzetelnie i z najlepszym wykorzystaniem artystycznego rzemiosła — innych form niż narodowe stworzyć po prostu nie potrafi. I wtedy to skomplikowane definicje teoretyczne może dadzą się zastąpić lapidarnym powiedzeniem wielkiego architekta Złotego Wieku Francji — starego Blondela:

„l'Architecture c'est l'art de bien bâtir".

Jan Knothe

KORESPONDENCJA

„KRYTYKA LITERACKA WŚRÓD MAS"

Do Redaktora „Odrodzenia".

Pytanie: Co posiada Zofia Nałkowska?

Odpowiedź: ...„umiejętność dogłębnej analizy współżycia płci i ostrowidztwo psychologiczne"...

P.: Co analizuje Nałkowska w „Niedobrej miłości"?

O.: ...„romans człowieka żonatego z wzorową dotąd mężatką...".

J.: Co robi Pola Gojawiczyńska?

O.: „...święci triumfy kunsztu psychologicznego..."

P.: W jaki sposób?

O.: „...wciela irracjonalizm życiowy..."

P.: Co należy podziwiać w dziełach Karola Czapka?

O.: „...wytworną ironię i finezję stylu wielkiego pisarza..."

P.: W dziełach Jana Drdy?

O.: „...świetną stylistykę i tematy świetnie po literacku opracowane..."

P.: Co robi Karol Czapek?

O.: „...odbronzawia niejako postaci... w klejnotach sztuki pisarskiej..."

P.: Co odtwarza Jan Drda?

O.: „...znaną nam atmosferę niepewności o życie, skąd krok już do bohaterstwa... unika babrania się w okropnościach..."

P.: Kim jest Jack London?

O.: „...Dziennikarz, marynarz, powieściopisarz ...książki straciły dla wszelki urok na wieść o odkryciu pokładów złota... znakomity znawca przyrody, zwierząt, psychiki szarego człowieka... „jeden z największych twórców ludowych świata..."

P.: Co robi czytelnik Jacka Londona?

O.: „...praży się pod słońcem tropikalnym, połyka bezmiar oceanów..." Itd. itd., itd.

Istnieje pewien rodzaj publicystyki stojącej (grasującej) na pograniczu między zwykłą reklamą ogłoszeniową i „krytyką" literacką, z którego te urywki i fragmenty są wyjęte i dosłownie przepisane. Z takim — urągającym elementarnym prawidłom gramatyki i stylu — żargonem, bombastycznym ple-ple-ple, napuszoną abrakadabrą słów i terminów spotykamy się w ogłoszeniach prasowych, zapowiadających nowe pozycje wydawnicze oraz na okładkach i wewnątrz książek wypuszczanych na rynek księgarski. Takim „stylem" omawia się doskonałych autorek i pisarzy, „dogłębnie" zgłębia się ich dzieła wypisuje nie tyle „finezyjne" ile fantazyjne duby smalone o wartości klejnotów i... odpadków literatury. Identyczne bowiem bzdury piszą te pióra o Teodorze Dreiserze i Antonim Marczyńskim, o „Janie Krzysztofie" i „Barbarze Ubryk".

Pamiętamy podobną formę „upowszechniania czytelnictwa", którą posługiwali się z wprawą przedwojenni wydawcy w czasach rozkwitu i panowania korsarskiej inicjatywy prywatnej. Mając przed oczyma cele tylko i wyłącznie merkantylne, nie skąpili odbiorcom czytelnikom rozwrzeszczanej reklamy przy każdym śmieciu literackim, uważając zresztą te metody za równie nie obowiązujące, jak gwarancja: „Dentozgrzyt przedłuża życie" u sprzedawcy mielonej kredy do czyszczenia zębów.

Dziś naprzeciw wydawcom i wydawnictwom wyszedł nowy klient, nowy odbiorca. Na miejsce nielicznej i elitarnej (majątkowo) grupy, weszły miliony świeżych czytelników, chłonnych i głodnych wszelkiej wiedzy, głodnych dobrej i pięknej książki. Nie możemy dopuścić żeby reklamowe bajdurzenia przesądzały o ich upodobaniach i — formułowały podstawy ich wiedzy o literaturze w ogóle.

Słusznie jesteśmy dumni z dotychczasowej działalności naszego aparatu wydawniczego, z ogromnej — w porównaniu z przedwrześniowymi — wysokości nakładów, z osiągnięć i zamierzeń na przyszłość. Mamy prawo twierdzić, że znikoma jest w tym wszystkim ilość tandety literackiej zalewającej masowo kraje o tzw. kulturze zachodniej. Ale jest. I są jeszcze tysiące i dziesiątki tysięcy starych, przedwojennych szmir bujd i sensacji. Jak się w tym orientuje nowy czytelnik, co wybiera, co swoim znajomym zachwala jako dobre, interesujące, ciekawe? Czytelnik, o którym mówimy i o którego nam chodzi, nie zawsze ma sposobność czytywania dobrych, krytycznych omówień. Jeśli więc zważymy z jednej strony: lapidarność, dostępność i masowość koszmarnych bzdur cytowanych na wstępie, z drugiej zaś niezamierzoną, ale praktykowaną wyłączność dobrej cenzury i krytyki literackiej — przestają one być bagatelne. Tak bagatelne, by się kwalifikowały jak dotąd, w najlepszym razie, do jeszcze jednej „Oślej łąki" lub „Gabinetu osobliwości".

Doceniając całkowicie popularność i dostępność informacyjną takiej publicystyki, należy ją wykorzystać w interesie społecznym, jak najpełniej: rozszerzyć zwielokrotnić i — przede wszystkiem — ulepszyć. Przy odrobinie dobrej woli, kompetencji i poczucia odpowiedzialności, można zreformować ten „mały katechizm", zastępujący dziś setkom tysięcy czytelników historię literatury, kolumnowe recenzje i długie, a nie zawsze interesujące wstępy.

H. Rald

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn. 22 — Redkcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26
Drukarnia nr 2 „Czytelnik". Marszałkowska 3/5 Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Kato w PKO — I. 473 B-81570 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik